



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XXIV
PARYŻ—LONDYN

Nr 25 (1145) 873

CZWARTEK, 18 czerwca 1964

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

PODRÓŻE I UKŁADY, KONFERENCJE, REPRESJE, PROTESTY I WYBORY...

MAMY okres szczególnie ożywionej wymiany wizyt międzynarodowych, rozchodzących się bez rezultatu konferencji genewskich, wreszcie represji stosowanych przeciw ogniskom niepokojów wojennego czy rewolucyjnego, jak na Cyprze, w Laosie czy Gujanie, zakłamanych manifestacji protestacyjnych, wreszcie manewrów wyborczych, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych.

Najważniejsze z wizyt, to równocześnie i mające się na szachownicy światowej kompensować — Ulbrychta w Moskwie i Erharda w Waszyngtonie. Chruszczow, mimo przyjaźniejszej koegzystencji ze Stanami Zjedn., którą się jego tegoroczna taktyka odznacza, nie zaniebduje, jak widać, swego wschodnio-niemieckiego pupila. Podpisał z nim bowiem traktat, przez który podniósł międzynarodowy statut tego komunistycznego reżimu, pretendującego do roli państwa, choć nieuznanego przez Zachód, a zwalczanego energicznie przez Niemiec i Republikę Federalną. Nastąpiło to 12 czerwca na Kremlu, podczas trzygodzinnej uroczystości i przy akompaniowaniu powodzi mów, wśród których podpisano ten dokument nazwany 20-letnim traktatem wzajemnej pomocy i przyjaźni.

Traktat w praktyce niewiele dodaje do wzajemnych stosunków, określonych w Pakcie Warszawskim i Komekonie, a wynikających z protekcji, jakiej Moskwa swemu, wojskowo okupowanemu satelitem udziela, ale jest co najmniej potwierdzeniem dotychczasowej polityki sowieckiej, zasadniczo sprzecznej z zachodnią, uznającą NRF. Traktat Chruszczow—Ulbrycht, chociaż zignorowany przez zachodnie mocarstwa, gwarantujące powojenny statut Niemiec i chociaż nie będący jeszcze traktatem pokojowym, którego odrębnym zawarciem Moskwa od dawna grozi, posiada jednak znaczenie.

Pogłębienie sprzeczności polityki europejskiej Zachodu i Wschodu

Pogłębił on sprzeczność polityki europejskiej obu bloków, mimo że wciąż się pisze o wyrównywaniu różnic między Wschodem a Zachodem i wskrzesił najdrażliwszą sprawę zachodniego Berlina, który w traktacie uznano za — nie zachodnią, lecz — trzeciego charakteru prawnego część Niemiec. Układ więc Moskwa—Pankow i mająca go kompensować ze strony Zachodu wizyta kanclerza Erharda w Waszyngtonie, gdzie potwierdzono rządowi w Bonn dotychczasowe poparcie, stały się wyrazem polityki czasowego status quo i zarazem woli jego przyszłej zmiany, której ani Moskwa, ani mocarstwa zachodnie się nie wyrzekły. Ze względów wewnętrznych i na potrzeby kontynuacji atmosfery „odprężenia”, dyktowana przez wybory, prasa zachodnia stara się minimalizować znaczenie moskiewskich podpisów i dlatego tak mało o nich czytamy. Zaledwie poznaczony swego wschodnio-niemieckiego namiestnika, Chruszczow z całą rodziną i rządowym sztabem wybrał się — przez Królewiec, zwany dziś Kaliningradem — w swoją 18-dniową podróż do trzech krajów skandynawskich, zaczynając od Danii. Napotkał tam na chłodne

przyjęcie, ale o tym przyjdzie napisać po zakończeniu całej wyprawy.

Cypr — Laos — Gujana — Płd. Afryka

Przyczyną dwu dalszych, ważnych podróży stała się zaogniona znowu sytuacja na Cyprze. Lądowanie wojsk tureckich na tej wyspie wisiło już na włosku, kiedy prez. Johnson zdecydował się na wysłanie podsekretarza stanu G. Balla do Aten i Ankarę z ostrzeżeniem, że 6 Flota amerykańska, przebijająca, jak wiemy, we wschodniej części Morza Śródziemnego nie dopuści do starcia zbrojnego między dwoma partnerami Przymierza Atlantyckiego, jakimi są oba wspomniane państwa. Dalszym ciągiem interwencji amerykańskiej w konflikt cypryjski stało się zaproszenie obu premierów, Turcji i Grecji, do Waszyngtonu. Z końcem tego tygodnia udaje się tam turecki Inonu, a po nim grecki Papandreu.

W pld.-wschodniej Azji głównym ośrodkiem zaognienia stał się Laos, gdzie doszło do lotów amerykańskich nad tym krajem i do ostrzeżeń, które wywołały szereg protestów ze strony komunistycznej. Równolegle toczy się dyplomatyczny spór o to, jaka konferencja ma się zająć starą kwadraturą koła — pacyfikacją Laosu. Komuniści polscy wysunęli myśl konferencji ograniczonej (Indie, PRL, Kanada, jako tworzący miejscową komisję międzynarodową w Laosie oraz W. Brytania i ZSSR, jako państwa — przewodniczące konferencji genewskiej), na co Pekin z Francją zażądał zwołania plenum tejże konferencji, w której uczestniczyłoby 14 państw, w czym Chińska Republika Ludowa. Sowiety, mimo tak reklamowanego sporu z Pekinem, poparły ten pekiński plan. Sprawa toczy się w dalszym ciągu i główni partnerzy nie mają, zdaje się, nic przeciw odwołaniu decyzji.

W Brytanii poszła w Gujanie na drastyczne aresztowania przywódców obu zwalczających się stronnictw, w sumie około 40 osób, aby przywrócić w tej swojej, mającej otrzymać niepodległość, indyjsko-murzyńskiej kolonii wreszcie porządek. Uczyniła to po ciągnących się krwawych zamieszkach, ukoronowanych wymordowaniem rodziny jednego z polityków, w czym siedmiorga dzieci.

Jakkolwiek praktycznie i humanitarne uzasadnione, krok ten jest bezwzględnie niekonstytucyjny. Nie demon-

struje się, niemniej, przeciw niemu, choć równocześnie odbywają się szeroko zakrojone manifestacje przeciwko wyrokowi na czarnych w Unii Płd. Afrykańskiej. Manifestują przede wszystkim te koła, które zarazem są zupełnie głuche na wszelkie objawy znacznie poważniejszego i trwającego od wielu lat terroru w Rosji Sowieckiej. Oburza je wydanie przez sąd pld.-afrykański wyroku na kilku działaczy politycznych, podczas gdy terror stosowany przez komunizm wobec milionów nie jest przez nie w ogóle zauważany.

Kontrkandydat Goldwatera — Bill Scranton

Niepowodzenia amerykańskiej polityki międzynarodowej w rękach rządzących Demokratów zaczynają się składać na całość wręcz ponurą. Klęską za klęską w pld.-wschodniej Azji, bezskuteczna walka z Francją na czele Wspólnego Rynku w zakresie tariff handlowych, a niesmaczna — jak w wypadku publikacji przez Departament Stanu przed tygodniem, prywatnych listów Roosevelta, wymyślających na de Gaulle'a, co mu w niczyich oczach nie uwłaszcza a podnosi we francuskich — wreszcie coraz nowe kawały, robione przez nowego „sprzymierzeńca” Białego Domu w osobie Chruszczowa, jak ostatnio jego traktat przyjaźni i wzajemnej pomocy z Ulbrychtem, to wszystko zaczyna niepokoić anglo-amerykańskich zwolenników jesiennej kandydatury L. B. Johnsona.

Niepokój ten przybrał ostatnio takie rozmiary, że możliwość nominacji przez Republikanów senatora Goldwatera przestała być już uważana za pomyślną dla Demokratów, jako kandydata, który prezydentem wybrany być w żadnym wypadku nie może. Z wielką więc ulgą dowiedziano się, że wahający się dotychczas gubernator Pensylwanii, Bill Scranton dał się ostatecznie nakłonić do wysunięcia swojej osoby.

Mimo, że tymczasem dysponuje on na lipcową konwencję Republikanów w San Francisco zaledwie około sto własnymi głosami i powyżej setką, obiecaną przez N. Rockefellera, na 670 głosów Goldwatera (potrzeba ogółem 655 dla nominacji), Scranton uważany jest za kontrkandydata poważnego. Według amerykańskich strategów wyborczych dojść powinno do ogólnej mobilizacji przeciw Goldwaterowi i dezercji jego zwolenników pod wpływem o-

„Tak Kościół patrzy na życie narodu“

Kazanie Prymasa Polski w rocznicę Monte Cassino

W czasie uroczystości dwudziestej rocznicy Bitwy o Monte Cassino Prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński przebywał w Rzymie. W obchodzie na Górze klasztornej nie mógł wziąć udziału lecz poświęcił Rocznicę natchnionym kazaniem. Wygłosił je w Kościele Polskim w czasie mszy św., na której wśród tłumu wiernych znaleźli się także uczestnicy pielgrzymki polskiej na pobożowisko Monte Cassino.

Kazanie głęboko wstrząsnęło uczuciami i umysłami wiernych, zwłaszcza w tych momentach gdy Prymas tłumaczył czym w nauce Kościoła jest naród i życie narodu, które wymaga nie tylko zwycięstw ale także — a może przede wszystkim — ofiar.

„Droga wasza — mówił Prymas —

jest drogą narodu: przez wieczny Rzym prowadzi na górę chwały oręża polskiego. Prowadzi ta droga od tysiąclecia i trzeba być świadomym tego czego świadomi byli żołnierze polscy ginący na Monte Cassino. Dzieje narodu wspinają się w górę często wśród pozornych niepowodzeń, składając ciągłe ofiary. Zdaje się niekiedy, że ofiary te są beznadziejne. Może cynicy podchodzący do wszystkiego z wyrachowaniem materialistycznym będą obliczali te ofiary po stronie strat. Ale naród żyje nie tylko osiągnięciami, nie tylko zwycięstwami, zdobyciami; naród żyje też ofiarą i poświęceniem i cierpieniem i może chwilową przegraną, by zachować dobrą wyższego rzędu. Ofiara żołnierza polskiego wydaje swe owoce wskazując drogę dla narodu naszego. Bo tak jak obeliski na Monte Cassino wskazują nam wszystkim drogę w górę. My wszyscy — jako jednostki i jako naród wspina się w górę, płacąc cierpieniem, krwią i życiem. Więc ofiara żołnierzy polskich spod Monte Cassino podobnie jak w Powstaniu Warszawskim wydaje owoce. I nie myślcie, że nie ma z tej ofiary echa. Uczy nas ona nie tylko jak żyć, ale także jak umierać za Ojczyznę...

To jest rzeczywistość, która trwa od tysiąclecia i która się odnawia. Uczymy się ciągle jak oddawać dusze Bogu a serce Ojczyźnie, serca i życie nasze całe.

...I wy też nie jesteście z prawdy tej wyłączni. Gdziekolwiek się znaleźcie przedmiotem Opatrzności oddajcie dusze Bogu a siłami doczesnymi pracujcie nie tylko dla swych rodzin ale dla całego narodu. Uczy nas Jan XXIII, że człowiek jest obywatelem nie tylko swojej Ojczyzny, lecz także całego globu i że ma prawa nie tylko w Ojczyźnie lecz wszędzie. I o te prawa człowiek walczy i ich broni, dąży do prawdy, dąży do miłości, gdziekolwiek by się znalazł, czy w granicach swego kraju czy poza nimi.

Na świecie i w narodzie najważniejszy jest człowiek w człowieczeństwie rozumny i wolny. I każdy człowiek ma prawa, których żądać się nie może, z których korzystać musi i o które walczyć ma obowiązek. Polacy umieli zawsze walczyć za Wolność Wszczęć i Naszą. W Ojczyźnie naszej przywrócić nam się już w pracy Kościoła coraz bardziej patrzeć na Naród jako na całość, gdziekolwiek by synowie Narodu nie żyli: czy w granicach między Bugiem i Odrą i Nysą Łużycką, czy poza nimi, czy na tych bezgranicznych obszarach globu. Dlatego sercem i myślą ogarniamy nie tylko 30 milionów Polaków, ale i te dziesiątki poza granicami. Dlatego przemawiam w imieniu 40 milionów Polaków. Uważam, że to jest rzeczywistość, której wyrzec się nie możemy i nie chcemy. Dlatego Monte Cassino to dla nas to samo co katedra św. Jana, co Gniezno, Gdańsk, Szczecin, co cała Polska.

Tak Kościół patrzy na życie narodu...

W oczu wasze składam nasz hold dla poległych na Monte Cassino — kończył Prymas swe kazanie w dniu 13 maja 1964 roku.

O OSTATNIEJ KONFERENCJI KS. KARDYNAŁA PRYMASA POLSKI

„Osservatore Romano“ umieszcza na pierwszej stronie sprawozdanie z Warszawy o ostatniej konferencji ks. Prymasa w kościele św. Anny: zapowiedział on wtedy, że II Sobór Watykański zażąda na trzeciej swej sesji wolności religijnej dla narodów, które jej jeszcze nie mają. Sprawozdanie z całym naciskiem powtarza też słowa ks. Prymasa o osobistych szykanach, które go spotkały w dziedzinie literatury religijnej oraz jego skargę na przedłożenie podatkowe Uniwersytetu Lubelskiego. Notuje też zapowiedź ks. Prymasa, że 46 biskupów polskich wybiera się do Rzymu by wziąć udział w obradach III sesji Soboru.

Ś.P. GEN. GŁUCHOWSKI

Dnia 11 czerwca br. zmarł nagle gen. dyw. Janusz Głuchowski, jeden z najwybitniejszych oficerów wojska polskiego.

W następnym numerze ukaże się Tadeusza Alf-Tarczyńskiego „Wspomnienie pośmiertne“ o zmarłym Generale.

INSTALACJA KS. WALERIANA MEYSZTOWICZA

Rzym, w czerwcu

W Bazylice św. Piotra odbyła się w niedzielę 7 bm. w godzinach popołudniowych ceremonia instalacji nowomianowanego kanonika honorowego Watykanu, ks. prof. Waleriana Meysztowicza. Uroczystość rozpoczęła się w kaplicy zakrytyj świętymi Piotrowej, kiedy po odcytniu bulli papieskiej przez ks. infułata B. Filipiaka, nominat złożył na ręce ks. arcyb. Pericé Felici jako wikariusza ks. kard. Marelli, archidiecezji Bazyliki watykańskiej, akt ślubowania, odczytany i podpisany w obecności dwóch kanoników, Węgra i Włocha jako świadków. Następnie mały orszak z ks. arcyb. Felici, ks. kan. Meysztowiczem i świadkami uroczystości przeszedł do absydy Bazyliki, gdzie już uprzednio zajęli miejsca dostojnicy Kurii. Tu, wśród przepisanych obrzędów i modłów, przy dźwiękach organów i pieśni religijnych odbyła się wstąpiła część ceremonii — instalacja nominata w gronie kanoników Kurii.

Dostojnicy Kurii i najbliżsi przyjaciele ks. kan. Meysztowicza, obecni podczas oficjalnej introdukcji w poczet kanoników watykańskich, złożyli z tej okazji nominatowi serdeczne gratulacje.

J. Gn.

KESK — POST SCRIPTUM

W sprawozdaniu z Konferencji Ekonomistów w Sprawach Krajowych (O.B., nr. 24, str. 1) wspomniano na marginesie jednego z referatów i w polemice z jego wnioskami o notorycznym wyzysku, jakiego ofiarami padają narody strefy sowieckiej w handlowym obrocie z Rosją. Wyzysk ten polega na płaceniu zbyt niskich cen za towary dostarczane oraz żądaniu zbyt wysokich, wyższych niż stawiane państwom świata wolnego, za towary przez Rosję sprzedawane; ponadto na korzystnej dla ZSSR kalkulacji kosztów transportu towarów; na rozmaitych innych sposobach.

Bezpośrednio po KESK dostałem broszurę, zawierającą sprawozdanie z dziewiątej sesji Zgromadzenia Narodów Ujarzmionych (ACEN Publication nr. 48, 1964 — 29 West 57th Street, New York 19, N.Y.). Wśród ogłoszonych tam rezolucji, raportów i rozmaitych źródłowych materiałów znajdujemy na stronach 83-98 pt. „Ceny i bilans handlu narodów ujarzmionych przez Sowety za rok 1961“, bogate, dobrze zestawione i omówione informacje statystyczne, dotyczące wspomnianego wyżej tematu. Warto się z nimi zapoznać.

(z.s.)

Póki Sowiety były jedynym inspiratorem i dysponentem satelitycznych państw oraz komunistycznej partii i komórek w „kapitalistycznym” świecie, światowy ruch komunistyczny był niewątpliwie monolitem. Mimo dywersji Trockistów, emancypacji Jugosławii i opanowania Chin komunistycznych przez Mao Tse-tunga.

Odkąd jednak Chiny, mające trzykrotnie większy potencjał ludnościowy niż Sowiety, zmusiły Amerykę do kompromisu w Korei, a Francję do opuszczenia Indochin, w tym monolicie zaczęły się pojawiać i pogłębiać już nie rysy a szczeliny. Nie tylko dlatego, że Chiny poczuły się — mimo licznych słabizn — mocarstwem i zaczęły szukać własnej drogi do marksistowskiego „raju” i podboju Azji, ale także dlatego, że zaczęły tworzyć własne, od moskiewskiego niezależne centrum światowego ruchu komunistycznego, na co Sowiety odpowiadali kontrpropagandą i represjami.

Na temat tego na razie wciąż jeszcze zaostrzającego się konfliktu oraz jego reperkusji na politykę państw zachodnich i neutralnych wypisano już morze atramentu. Daleko mniej uwagi poświęca się pytaniu, w jakim stopniu ta rywalizacja jedynych dwu potęg komunistycznych odbiła się i odbija na zwartości i postawie pozostałych ośrodków komunistycznych. Zwłaszcza tych, które dotychczas nie dorwały się do władzy, a częściowo nawet nie mogą działać otwarcie. Nie brak wprawdzie w prasie międzynarodowej artykułów rozpatrujących szanse moskiewskiego i pekińskiego „oboza” na planowanym przez Sowiety wszechświatowym kongresie komunistycznym, mającym „wrzód chiński przeciąć”, ale zawarte w nich spekulacje i przepowiednie są przeważnie albo zbyt ogólnikowe albo zbyt sztywne i kategoryczne. Dotyczy to zwłaszcza prasy komunistycznej i anglosaskiej. Tak np. moskiewski „Kommunist”, twierdząc jeszcze w maju, że 70 partii komunistycznych popiera stanowisko sowieckie, tylko częściowo je wymienił, a londyński „Sunday Times” ograniczył się do stwierdzenia, że za Sowietai opowiada się masa (73) partii, gdy za Chinami za ledwie 13, przy czym podał tylko globalne cyfry dla poszczególnych kontynentów i żadnych zróżnicowań i odcieni nie wprowadził.

Bez porównania wnikliwiej nawiązywała do ważnego zagadnienia prasa niemiecka, a zwłaszcza hamburska „Die Zeit”. Podług jej bardzo szczegółowych danych obecny stan rozłamu, nie pozwalający na operowanie tylko dwiema grupami, przedstawia się następująco:

Nastawienie 14 partii komunistycznych u władzy

Ze wobec daleko większej militarnej i gospodarczej zależności od Sowietai jedynie Albania, Północna Korea i Północny Wietnam stoją wyraźnie po stronie Pekinu, jest rzeczą zrozumiałą i powszechnie znaną. Mniej znany i poniekąd osobliwy jest natomiast fakt, że najbardziej „stalinowskie” państwa satelickie, tzn. N.R.D., Bułgaria i Czechosłowacja, oraz „złota” Mongolia opowiadają się najkategoryczniej po stronie Moskwy. Polska i węgierska partia komunistyczna wprawdzie popierają orientację moskiewską, ale są przeciwne zaostrzeniu konfliktu, bo obawiają się, że w razie usunięcia czy wystąpienia Chin z komunistycznej „wspólnoty” wzrośnie ingerencja Sowietai. „Interna” europejskich satelitów. Rumunia poszła, jak wiadomo, jeszcze dalej, próbując balansować między obu kontrahentami i swoją zależność od Moskwy rozluźnić, póki ona tym sporem poważnie zaabsorbowana. To samo dotyczy Kuby, znajdującej

KAZIMIERZ GLABISZ

MONOLIT CZY MOZAIKA?

się z różnych względów w pozycji wyjątkowej, ale bez porównania więcej od Sowietai niż od Chin zależnej. Jugosławia, która nie należy ani do Paktu Warszawskiego, ani do Komononu i nie podpisała deklaracji moskiewskiej z 1957 i 1960 roku, wprawdzie opowiada się za linią i taktyką Moskwy, ale z pewnymi zastrzeżeniami. Tak więc sprzeciwia się ona zarówno szukaniu porozumienia z Chinami, jak i zwolnieniu wszechświatowego kongresu komunistycznego i wykluczeniu Chin, opowiada się natomiast za pełniejszym odwróceniem się całego ruchu komunistycznego od stalinizmu i za większą autonomią i niezależnością jego poszczególnych ogniw.

Nastawienie partii komunistycznych nie u władzy

Jeśli już w nastawieniu rządzonych przez komunistów państw i państw odróżnić trzeba pewne pośrednie odcienie, to tym bardziej niemożliwy jest sztywny podział na dwie tylko grupy daleko liczniejszych partii komunistycznych, istniejących w wolnym świecie, a tym samym od Moskwy czy Pekinu mniej zależnych. Wprawdzie, jak wypośrodkował Leonhard w „Die Zeit”, już 50 spośród istniejących 78 partii tego typu wypowiedziało się mniej lub więcej wyraźnie za linią moskiewską, ale w wielu z nich nastąpiły rozłamy własne na tym tle. Potwierdziła to ostatnio moskiewska „Prawda”.

Nawet wśród zachodnio-europejskich partii komunistycznych orientacja promoskiewska wprawdzie przeważa, ale bynajmniej nie w sposób absolutny. Tak np. partia włoska, mająca więcej członków niż wszystkie pozostałe partie komunistyczne Zachodniej Europy razem wzięte, zajmuje stanowisko bliższe linii jugosłowiańskiej niż moskiewskiej, tzn. dąży do włoskiej wersji komunizmu. Niezależnie od tego istnieje w niej odłam prochiński, wydający pismo „Ritorniamo a Lenin”. Francuska partia popiera wprawdzie stanowisko Moskwy, ale nie brak wśród jej członków zwolenników chińskiej linii. Wydają oni dwa pisma, w tym wspaniałą i w kilku językach wydawaną „Revolution”, i ostatnio bardzo uaktywnili „Francusko-Chińskie Towarzystwo Przyjaźni”. To samo można powiedzieć o daleko słabszej i w tym sporze mniej zdecydowanej partii brytyjskiej, w której prochiński mniejszości przewodzą Evans i Crery, zresztą syn generała, wydający — pismo „Vanguard”. Partie norweska i holenderska, dotychczas swojego nastawienia nie ustaliły, a z obawy przed rozłamem raz po raz próbują w chińsko-sowieckim sporze pośredniczyć. Również islandzka partia unika zajęcia wyraźnego stanowiska. W Belgii doszło do pełnego rozłamu. Partia prochińska ma już własny organ „La Voix du Peuple”. Partia austriacka wprawdzie popiera stanowisko Moskwy, ale jest atakowana przez grupę prochińską Freisa, wydającą pismo „Rote Fahne”. Analogicznie przedsta-

wia się sytuacja w partii duńskiej, szwajcarskiej i hiszpańskiej, (nielegalnej i uchodźczej), w których prochińskie frakcje również znajdują się w mniejszości, ale dorobiły się już własnych organów: „Orienting”, „L'Etincelle” względnie „El Proletario”.

W Azji Pekin ma pełne poparcie komunistycznych partii Laosu, Kambodży, Syjamu i Malezji. W Burmie istnieją już dwie partie komunistyczne, prochińska „Komunistyczna Partia Burmy” i prosowiecka „Burmeńska Partia Robotnicza”. Również cejlońska partia komunistyczna rozluźniła się na dwie partie. Wielka, bo licząca około 2 milionów członków partia indonezyjska wprawdzie sympatyzuje z Pekinem, ale wystrzega się atakowania Moskwy. To samo można powiedzieć o japońskiej partii komunistycznej. W indyjskiej partii toczą się nadal namiętne spory z tym, że przewaga prosowieckiego skrzydła stopniowo maleje i jest już tylko nieznaczna. Prawdopodobnie i tutaj dojdzie prędzej czy później do otwartego rozłamu.

W Australii już istnieją dwie partie komunistyczne. Prosowiecka ma swoją kwaterę główną w Sydney, prochińska w Melbourne. Partia nowozelandzka popiera zdecydowanie stanowisko Pekinu.

Partie, komórki czy jacejki komunistyczne w Afryce są albo za słabe, albo zanadto zakonspirowane i lokalnymi sprawami zajęte, by mogły zajmować się i przejmować konfliktom sowiecko-chińskim. Ich kierownictwa mają różne powiązania (nawet z Kubą), jednak w części arabskiej w większości ciągną ku Moskwie. Zwłaszcza, że zasięg pomocy i infiltracji sowieckiej jest większy. Czy propaganda chińska, grająca na antyeuropejskich nastrojach mas afrykańskich, zdola skontrować wpływy Moskwy przez piętnowanie Sowietai jako państwa europejskiego i kolonialnego, nie wiadomo. Nie sposób również przewidzieć, czy z czasem nie powstanie w Afryce jakiś autonomiczny kurs komunistyczny, lawirujący między Moskwą a Pekinem i korzystający z pomocy obu tych centrów.

Wśród komunistów amerykańskich konflikt sowiecko-chiński wywołuje pewne reperkusje tylko w lacińskich krajach tego kontynentu, choć także w słabutkich partiach komunistycznych Stanów Zjednoczonych i Kanady, popierających kurs Moskwy, powstały prochińskie grupy. Istotny stan rzeczy w partiach lacińskich zaciemnia przy tym fakt, że wiele z nich stoi przede wszystkim pod wpływem Kuby, która jest w odniesieniu do tej części globu nie tylko przełożnikiem, ale także samodzielnym źródłem inspiracji. Nie wszystkie tamtejsze partie komunistyczne zajęły już stanowisko w sporze chińsko-sowieckim. Wiadomo jednak, że w Meksyku, Chile, Argentynie i Ekwadorze, ich zdeklarowanie się po stronie Moskwy spowodowało powstanie prochińskich frakcji, a w Brazylii i Peru doprowadziło do otwartego rozłamu. W Peru zwolennicy chińskiego kursu zdobyli większość w Komitecie centralnym, za-

łożyli jednak odrębną partię i własny organ, gdy nie udało im się opanować przemocą „politbiura” i starego organu partii — „Unidad”.

Jak z tego przeglądu wynika, także wśród nie rządzących partii komunistycznych większość jeszcze idzie na pasku Moskwy, ale zasięg chińskiej „herezji” wzrasta. Powstanie na tle tego sporu nie tylko tarę, ale także prochińskich frakcji i nawet partii, przez Moskwę oczywiście nie uznawanych, nie musi zaważyć na wynikach ewentualnego kongresu wszechświatowego, ale niewątpliwie osłabia dynamizm i dyspozycyjność tych „czerwonych V-tych kolumn”.

Rozłamy te oczywiście nie wszędzie były spowodowane sprzecznością poglądów na zagadnienia doktrynalne czy problemy wielkiej taktyki „grzebania świata kapitalistycznego”. Tu tam zdecydowały wymogi lokalnej taktyki, rozmiary czy szanse pomocy z jednego lub drugiego źródła, ambicje i powiązania kierujących partiami aktywistów itd.

KRONIKA WOJSKOWA

PAKT WARSZAWSKI. Naczelnym dowódcą sił zbrojnych Paktu Warszawskiego jest nadal marszałek sowiecki Greczko, mający 63 lata. Jego szefem sztabu jest obecnie gen. Bator, oczywiście również z sowieckiej armii. Nominalnymi zastępcami marszałka Greczko są ministrowie obrony należących do paktu państw satelickich, a więc obecnie: „marszałek” Spychalski (PRL), gen. Lomsky (Czechosłowacja), gen. Lalajan (Rumunia), gen. Dziurov (Bułgaria), gen. Czinge (Węgry) i gen. Hoffmann (NRD). Ich role w kierownictwie centralnym są jednak wyłącznie reprezentacyjne. Wpływu na nie nie mają. Nie tylko dlatego, że supremacja elementu sowieckiego jest w nim absolutna, ale także dlatego, że brak im solidnego przygotowania fachowego, przeważnie zrobili karierę jako politycy. Do tego dochodzi, że aż do 1960 roku konferencje naczelnicy rady wojskowej Paktu Warszawskiego odbywały się tylko co dwa lata, choć jego statut przewidywał coroczne ich zwoływanie. Dopiero od tego roku odbywają się one regularnie, tzn. zgodnie ze statutem, i to już nie tylko w Moskwie. Tak np. w 1962 konferencja ta odbyła się w Pradze, a w 1963 roku w Warszawie.

POLSKA. Kokietowanie Polski przez Sowiety idzie w parze z jej bezwzględny, choć ukrywanym eksploatowaniem. O schlebianiu polskiej „próżności” i równoczesnym podnoszeniu prestiżu Gomułki świadczy najlepiej niewątpliwie uroczyste powitanie go z okazji jego ostatniej wizyty w Moskwie: od Brześcia eskortowało jego samolot siedem myśliwskich samolotów sowieckich, a na lotnisku moskiewskim powitał go sam Churszczow 21 strzałami artyleryjskimi i aż trzema kompaniami honorowymi, wojska, piechoty morskiej i lotnictwa. Honory te oczywiście nie mogą wyrównać faktu, że Polska Ludowa musi nadal płacić Sowietai, które są jej najważniejszym „partnerem” handlowym, straszliwy haracz gospodarczy.

Tak więc w roku 1961 musiała płacić Sowietai po blisko 21 rubli za tonę ropy naftowej, 62 ruble za tonę surówki żelaza i 661 rubli za bawełnę, gdy państwom zachodnim Sowiety sprzedawały te towary po 9 względnie 44 względnie 540 rubli. Podobnie była wyzyskiwana w 48 innych grupach importowanych z Rosji towarów, a tylko w 11 grupach nie płaciła więcej niż państwa zachodnie. Równocześnie ceny płacone przez Rosję za importowane z Polski fabrykaty półfabrykaty i surowce były przeważnie znacznie niższe od płaconych krajom zachodnim. Stan odbija się tym dotkliwiej na gospodarce polskiej, że eksport do Rosji stanowił w 1962 roku 30,6 procent całego eksportu polskiego, a import z Rosji nawet 34,5 procent całego importu. Dodatkowym haraczem będzie wykonanie zawartej niedawno w Moskwie umowy, która przewiduje dostarczenie przez Polskę w latach 1965-1970 aż stu fabryk i instalacji chemicznych, choć chemiczny przemysł pol-

nie może również ulegać wątpliwości, że rozłamy czy orientacje wiążą się raczej ze sporem dwu walczących o hegemonię centrów i systemów komunistycznych niż z ich równoczesną rywalizacją jako państw imperialistycznych i rasowo odmiennych. Dlatego spór „kolorowych” partii komunistycznych opowiada się za „białymi” Sowietai, a „biała” Albańska i nowo-zelandzka za żółtymi Chinami.

Póki między tymi głównymi ośrodkami komunizmu toczy się tylko zimna wojna i Moskwa nie żąda wyklęcia rywala — „apostaty” z komunistycznej „rodziny”, obecna linia podziału może, przynajmniej z grubsza, się utrzymać. W razie banicji Chin lub zbrojnego ich konfliktu z Sowietai, narazie mało prawdopodobnego, uległaby ona zmianom i pogłębieniu, ale zniknęłaby chyba całkowicie, gdyby doszło między nimi do porozumienia, na co się nie zanosi, albo gdyby „koegzystencja” ze światem kapitalistycznym zakończyła się wojną.

Narazie jednak światowy ruch komunistyczny przypomina raczej mozaikę niż monolit. Mimo to jest nadal niebezpieczny, bo mimo rozłamów zmierza do tego samego celu — zaplanowania nad całym światem.

Radio warszawskie ujawniło, że ostatnio wiceministrowie obrony narodowej, gen. Duszyński i Jaruzelski, objeżdżają większe garnizony i miasta, by tam m. j. szerzyć kult dla „bohaterów” czynów wojennych Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. We Wrocławiu Duszyński zapewniał ich weteranów, że „ich czyny nie idą na marne i że wojsko ludowe uważa tradycje walk wyzwolenczych ludowej partyzantki za zasadniczy szkielet, za osnowę, za kanwę całej swej działalności wychowawczej i szkoleniowej.” Reżymowa „historiozofia” wojskowa poszerza i upiększa tę „kanwę”, jak może, równocześnie pomniejszając lub przeliczając czynny prawdziwie polskich formacji.

Szef Sztabu Generalnego, gen. Bzdilowski, choruje podobno od dłuższego czasu. Ciekawe dane o stopniu zniszczenia i odbudowy Wrocławia podał niedawno warszawski tygodnik „Rada Narodowa”. Otóż w 1945 roku uległo we Wrocławiu pełnemu lub poważnemu zniszczeniu 345.000 izb mieszkalnych, 800 większych zakładów przemysłowych i blisko 700 kilometrów sieci komunikacyjnej. W okresie powojennym odbudowano dotychczas tylko 120.000 izb mieszkalnych i wybudowano 46.000 nowych oraz odbudowano lub zbudowano 380 zakładów pracy, czyli niespełna połowę zniszczonych.

WĘGRY. Kursujące od dłuższego czasu wiadomości o przygotowaniach do wycofania dywizji i eskadr sowieckich były przedwczesne. Wprawdzie spotyka się tylko bardzo rzadko muredu sowieckie na ulicach miast węgierskich, ale 4 dywizje i liczne eskadry sowieckie nadal stacjonują na obszarze Węgier z tym, że przebywają przeważnie w obozach na głuchej prowincji i są niemal szczelnie od ludności izolowane.

Bela Kun, który w 1919 roku był przez 133 dni szefem komunistycznej republiki węgierskiej a w roku 1938 został jako „trockista” na rozkaz Stalina zgładzony, doczekał się ostatnio „rehabilitacji”.

Kage-

DOKUMENTY CHWILI

Wyszłi spod prasy ZESZYT II. • 356 stron druku.

Zawiera 16 dokumentów, nieodczynnych dla zrozumienia obecnej fazy w konflikcie, który rozsada międzynarodowy ruch komunistyczny. Dokumentacja sowiecka, chińska, albańska i jugosłowiańska. Wstęp pt. „Koniec monolitu” pióra Adama CIOLKOSZA.

Cena 22 sh., 15 NF, 3 dol. Wysyła „GRYP” PUBLICATIONS LTD., 171. Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11 — po otrzymaniu należności.

LWÓW 1782 WIEDEN

J.A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

Jarzębiak Malinowa Tea-Rum
Kontuszówka Starka Wiśniówka
Krupnik Wiśniak

Przedstawiciel
J. A. BRUCE & CO.
9. LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808
(Koto stacji kolejki podz. Gloucester Road)

Z REWII

NIESPODZIANKI W WALIZECZCE

Ref-Ren wrócił po uciążliwym całorocznym objęciu Ameryki jakby odrodzony, co jest niewątpliwie następstwem pokrzepienia się na duchu, no i na ciele. Wszystko jednak co mógł przywieźć ze sobą zza Wielkiej Wody nie mogło dorównać atrakcyjności propozycji, jaką otrzymał w Kalifornii. Jak się sam przyznaje sprzed kurtyny na wstępie do swej nowej „rewii satyrycznej” pt. „Z walizeczką przez świat”, wystawionej przez Teatr Polski ZASP w „Ognisku” — przedsiębiorczy przemysłowiec zaproponował mu 2.000 dolarów miesięcznie za podjęcie się sprzedaży nagrobków. Po co on się tak oczernia. Co jak co, od Fef-Rena można kupić piosenkę, skecz, dowcip, nawet jeśli „Made in Poland”, ale po nagrobek trzeba iść do pułkownika B. od B... (Piszemy to nie licząc na 10 procent prowizji). Nagrobek od Ref-Rena zaraz pękłby ze śmiechu. Tak przynajmniej sędzić można po jego ostatniej rewii.

Ze swej walizeczki podróżnej wysypał przed oczami rozbawionej widowni nie tylko kilka próbek swego repertuaru amerykańskiego, ale i kilku żywych, młodych niespodzianek ze stemplem raczej „Made in Britain” niż „in USA”. Swą rewii nie rewii zbudował jakby na zasadzie wciąż trwającego jubileuszowego benefisu, w którym zastąpienie pierwsze miejsce zajmuje Nina Oleńska; sama lub z towarzyszeniem Ref-Rena. Świadczy o tym autentyczny „Baltyk Trabel”, „Krajanka” z New Yorku, „Mother in Law” i najkapitałniejszy „A ja pamiętam ba!”, w którym można było podziwiać całą skalę talentu Oleńskiej, od liryzmu do twista.

Przywiózł też Ref-Ren środek na odmłodzenie i porost włosów — na raz — i odmłodził nim cały zespół, a zwłaszcza S. Zięciakiewicz, który tego weale jeszcze tak bardzo nie potrzebował. Przywrócił mu całą solidność młodzieńczego aktorstwa w doskonałej i trudnej parodii „Polskiego Szalapina” z orderami z przodu i z tyłu oraz basem profundo (Sapientia sat!) oraz w subtelnym eksperymencie „Domini-que”, gdzie mu doskonale w prawdziwym habicie. Odmłodził on nie tylko zespół, ale i całą emigrację, jak o tym się było można przekonać na zdjęciach rzuconych epidiaskopem na ekran — od Kropiwnickiego do Kollera, któremu doskonale w peruce, gdy tańczy rock’em rolla.

Sam eliksir młodości wnoszą na scenę dwie niespodzianki o powabnej postaci. Była nią Stanisława Horwat w wianach piosenek; jej młody, wysoki, trochę ostry sopran predystynuje ją do repertuaru operetkowego. Po pierwszych jej nieśmiałych próbach, nadszenka zyskała sobie pięknego motyla. Był też niespodzianką debiut emigracyjny na scenie — znanej już z Klubu Przebojów Wiktora Budzyńskiego oraz ze studenckich klubów w Polsce, młodej pieśniarki — Ewy Krukowskiej. Jest to naprawdę „Dzieweczyna z psem” (w znaczeniu: elle a du chien), która teraz grzecznie dostosowywała się do

swej roli „debiutantki”, ale — jak można sędzić z jej numeru pt. „Przyszłość narodu” — potrafi temperamentem roznieść nam scenę.

Kilka trafnych akcentów dekoracyjnych na zadatek przyszłych okazalszych opraw scenicznych wprowadził Jan Smosarski, wspierany efektami świetlnymi Feliksa Stawińskiego. W żelaznych trybach rytmu utrzymała całość widowiska Maria Drue „przy fortepianie”. Kilkakrotnie publiczność, wśród której było na premierze prasowej wielu kolegów, zrobiła jej plecom głośną owację. Śmiech i brawa wybuchały kilkakrotnie podczas widowiska a zwłaszcza po przeżabawnej scenie finałowej „Beatłów po polsku”. Przyjemny, zabawny program, jeden więcej, w bogatym repertuarze Feliksa Konarskiego. Gdyby zdołał on sprawić nam też niespodziankę w postaci dwóch zdolnych i młodych aktorów, spełniłby prawdziwe posłannictwo zasłużonego prezesa ZASP.

(On)

MOWA POŻEGNALNA PROFESORA BRONARSKIEGO NAD MOGIŁĄ ALEKSANDRA WASUNGA

W poprzednim numerze pisał Kazimierz Vincenz o pogrzebie ś.p. Aleksandra Wasunga. Dziś podajemy w obszernych wyjątkach przemówienie pożegnane wygłoszone przez profesora Alfonsa Bronarskiego.

„W ciągu kilku miesięcy kolonia polska w Genewie dotyka po raz drugi bolesny cios, tym dotkliwszy, że niespodziewany. W jesieni ub. roku zmarł nagle ś.p. Stefan Fiedler-Alberti, konsul generalny R.P., a żegnał Go przemówieniem pośmiertnym P. Aleksander Wasung. Dzisiaj my stoimy nad Jego grobem, nad którym rozlegają się słowa ostatniego pożegnania. Byłoby jednak błędem twierdzić, że oba te zgony dotykają tylko kolonię polską w Genewie. W istocie okrywają one żałobą całą naszą polską emigrację w Szwajcarii, bo obaj Zmarli rozwijali działalność przekraczającą granice jednego kantonu. Postać ś.p. Aleksandra Wasunga zespoliła się z naszym terenem emigracyjnym od chwili kiedy przeszedł granicę szwajcarską na wiosnę 1940 r. i znalazł się wśród żołnierzy 2 Dywizji S.P. w tym kraju, w którym miał resztę życia spędzić.

Działalność rozpoczęła w organizacjach wojskowych i cywilnych, zwłaszcza na terenie Genewy, gdzie się osiedlił z rodziną po wojnie, miała objąć szersze kręgi z chwilą powstania centralnej organizacji uchodźstwa polskiego w Szwajcarii pod nazwą Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii. Ś.p. Aleksander Wasung był jednym z jej członków-założycieli i współpracował z nią od r. 1948 zrazu jako jej pierwszy sekretarz, przez okres trzyletni, następnie jako członek Prezydium Komitetu Wykonawczego z ramienia Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, a w końcu jako prezes ZOP, która to godność piastował od r. 1958 do zgonu.

Przez ZOP działalność swą rozszerzył i na inne odcinki pracy społecznej. Człony był przy powstaniu Towarzystwa Muzeum rapperswilskiego w r. 1954, w którego Zarządzie zasiadał, łączył Go od lat wojennych bliski stosunek z Tow. Kościuszkowskim w Solurze. Wspólnie z P. Generalem Wiczorkiewiczem założył przed kilku laty w tonie ZOP Komisję spo-

W ramach 10-lecia Polskiej Szkoły P.M.S. Willesden Green odbył się występ młodzieży gimnazjalnej z obfitym programem fragmentów dramatycznych. To powtórzone dwukrotnie przedstawienie miało miejsce w obszernej sali Anson Hall przy dość licznej frekwencji publiczności i zainteresowanych kół teatralnych oraz prasy. Na pierwszy ogień poszła scena nad Gopłem (w dwóch odsłonach) z „Balladyny” Juliusza Słowackiego. Na tle krajobrazu dookoła jeziora wśród roślinności leśnej rozegrała się tragiczna scena zazdrości między siostrami powaśnionymi przez intrygę osuną przez boginię głębin wodnych Goplanę.

Efekt teatralny był tu niejako w odwrotnym stosunku do ważności postaci występujących na scenie. Szczególnymi zdolnościami i dużą swobodą poruszania się i mówienia na scenie wykazały się Skierka i Chochlik (Małgorzata Kolał i Wanda Parr). Gopłana (Elżbieta Mądra) wiotka i wyniosła mówiła wiersz poetycznie ale zbyt cicho i czuła się bardzo skrepowana. Dużą naturalnością odznaczała się odtwórczyni Aliny (Grażyna Felińska), natomiast szczególnie trudne miała zadanie sama Balladyna (Izabella Wierzbowicz), gdyż tragedii zazdrości ani pojąć ani oddać nie była w stanie. Nie mniej jak wszystkie inne wykonawczynie wiersz mówiła płynnie i z dobrym akcentem. To jest największa wartość, jaką wynosi młodzież z tego gimnazjum. Grabcem był Jerzy Ciszewski, o szczególnych uzdolnieniach scenicznych, który niewątpliwie winien nadal opracować nad swymi zdolnościami w Warsztacie Teatralnym Młodych, który ma wznówić swe prace. Dla podniesienia nastroju wprowadzone były śpiewy w opracowaniu muzycznym Barbary Duleby i wykonaniu z za sceny przez Adę Wałęga i Józefa Walczaka.

W drugiej części widowiska dano scenki (w 4 odsłonach) z „Ślubów Pani Dobrońskiej” dobrze dała sobie radę Alina Kośmider. Dobrze skonstruowane były przy tym pary Anieli (Leokadia Szczęch) i Klary (Ewa Klimkiewicz) oraz Gustawa (Krzysztof

Polskie życie kulturalne

TEATR DLA DZIECI, MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH

Musiół i Albina (Jerzy Ścibor). Największą swobodę, werwę i animusz wykazała odtwórczyni Klary, chłopcy byli bardziej wyrównani i obaj umieli ze swych ról wydobyć zawarty w nich komizm.

Na zakończenie wieczoru poszły trzy odsłony z „Zemsty za mur graniczny” A. Fredry. Tu opanowaniem roli przewodził Cześnik (Jerzy Ciszewski), nie mniej wiele uwagi na sobie skupiał — jak zwykle — Papkin (Maciej Kolo-dziejski), który oddał bardzo żywo tę śmieszna postać. Znamiennym było, że zarówno Rejent (Krzysztof Musiół), jak i Wacław (Jerzy Ścibor) doskonale nie tylko mówili wiersz Fredrowski, ale i umieli nosić strój staropolski. Nie ustepował im też Dydalski (Krzysztof A. Betowski). Trudniej dziewczętom było poradzić sobie ze strojami stylowymi. Odnosi się to zwłaszcza do młodocianej Klary w sukni princesse z czasów dyktoriiatu (Krystyna Nowosiady), mniej do Podstoliny (Marta Szyfer) w krenolinie. W roli gości weselnych wystąpili: Ewa Budzyńska, Maria Wałęga, Leszek Jastrzębski i Robert Kośmider. Podziwu godny i uznania jest zapal, z jakim młodzież ta musiała pracować nad przygotowaniem widowiska, jeżeli wynik ogólny był tak zadowalający.

Pewną pomoc ze strony dorosłych mieli oni w zakresie dekoracji, bardzo udatnych — Jana Smagały, który z wielką pieczołowitością i poczuciem stylu epoki dobierał każdy szczegół, wykazując rzetelny talent scenograficzny. Kostiumy równie umiejętnie i starannie dobrane były przez pp. Jadwigę i Feliksa Matyjaszkiewiczów, efekty świetlne wydobywał p. A. Bogdanowicz, a trudnej charakterystyki młodzieży na dorosłe postaci dokonał wytrawny mistrz w tej dziedzinie — Władysław Prus-Olszowski. Oczywiście największy trud spoczywał na ramionach inscenizatorki i reżyserki w jednej osobie: p. Jadwigi Otwińskiej, która zdając sobie sprawę, iż w warunkach pozaszkolnych trudno o-

siągać doskonałość u młodych aktorów, całą uwagę położyła na podaniu tekstu, i w tym zakresie osiągnęła wyniki wręcz zadziwiające. Dana przez nią okazja do objawienia się pięknych zadatków talentu scenicznego u kilku wykonawców powinna być zarazem przez młodzież jak i przez kierownictwo studium aktorskiego, jakim w pewnym znaczeniu jest Teatrny Warsztat Młodych, skwapliwie wykorzystana do dalszego ich rozwinięcia w interesie podniesienia ogólnej kultury artystycznej naszego środowiska.

Dorośla już młodzież skupiona dookoła „Merkurysza” urządziła w sali Domu Lotnika wieczór innego rodzaju, ale również poświęcony „zagadnieniu teatralnemu. Był to wieczór dyskusyjny pt. „Co sądzę o teatrze polskim i twórczości Mrożka”. Zebraniu przewodniczyła p. Danuta Gutmanówna, w asyście Mariana Czernicza, Krystyny Mochlińskiej i Zofii Knarr. Jako prelegent dla zagajania dyskusji zaproszony był reżyser dr L. Kielanowski. W zagajeniu swym przewodnicząca przypomniła, że „Merkuriusz Polski” jest pismem akademickim wydawanym przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich i Światowy Związek Akademicki. Wymieniła następnie poprzednie wieczory dyskusyjne urządzone przez Klub Merkuriusza. Nawiązując do szeregu sztuk Sławomira Mrożka wystawionych ostatnio w Londynie, m.in. przez Teatr Współczesny z Warszawy i na brytyjskiej Telewizji (Policja) przedstawiła prelegenta jako autorytet w sprawach teatru oraz promotorów dyskusji pp. M. Czernicza, prezesa Koła Teatralnego i aktora, który występował już w filmie, Z. Knarr, studiującą języki wiceprezesa Stowarzyszenia Polskiego na Uniwersytecie Londyńskim, K. Mochlińska, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, przybyła przed 5 laty z Polski, obecnie pracowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie.

Dr L. Kielanowski w swej prelekcji podniósł swą teatralną miłość do Mrożka, który przed niespełna 10 lat pojawił się na widowni piśmiennictwa polskiego i dziś ma już za sobą wydane książki prozy, jakieś 10 napisanych i wydanych sztuk i grany jest też na licznych scenach poza Polską. Omówił przy tym nie tylko treść i koljne losy poszczególnych sztuk, ale i odmienny do nich stosunek w środowiskach polskich i zagranicznych. Porównał on przy tym twórczość Mrożka z Joneso lub Adamowem, podkreślając jego powiązania z Beaumarchais, i wskazując na jego cechy ogólnoludzkie, w których łączy bunt ze śmiechem. Mrozek mieszkał w Krakowie, z którego pochodzi. To może tłumaczyć fakt, iż w twórczości jego są również pewne akcenty nawiązujące do walki S. Wypiańskiego z romantyzmem, co zwłaszcza występuje w ostatniej jego sztuce o Ordonie. Są też nawiązania do twórczości Witkacego (Stanisława Ignacego Witkiewicza) z jego poszukiwaniami wstrząsu metafizycznego.

Na te tej prelekcji rozpoczęła się dyskusja, która była nagrywana na taśmie. P. Czernicz wypowiedział się przeciwko poszukiwaniu symbolów u Mrożka, uważając tekst za oczywisty, który powinien być brany tylko tak, jak jest. P. Mochlińska podkreślała odmienną odbioru Mrożka w Kraju i zagranicą, gdzie odbiera się tylko momenty ogólnoludzkie, bez podtekstu polskiego. Krytykowała też niewłaściwy sposób zmontowania przedstawień Teatru Współczesnego w Londynie, przemawiając za dodaniem jeszcze jednej sztuki dla wydobycia pełniejszego efektu. W tym samym kierunku wypowiedział się i p. Kielanowski. Natomiast nie było zgody na wprowadzenie przez p. Knarr porównanie Mrożka z Pinterem. Raczek można mówić o związkach z Kafką czy Gombrowiczem, jak na to wskazała p. Mochlińska. Do dyskusji włączył się ze słuchacza jeszcze p. dr W. Günther rozmawiając o trwałości wartości literackich Mrożka, oraz red. J. Ostrowski, który podniósł jego powiązania z teatrem dialektycznym, którego przedstawicielem był G. B. Shaw. Te wartości mogą być największą rekojmnią jego odbioru poza Polską. Poza tym symboliczny podtekst polski, który jest nawiązaniem do stosunków panujących w Kraju, dla ludzi zagranicą nieobeznanych z tą rzeczywistością nabiera cech zaskakującej fantastyki. Jakkolwiek dyskusja sprostowała się niemal do dialogu p. K. Mochlińskiej z dr L. Kielanowskim, był to interesujący i pożyteczny wieczór literacki.

O teatrze dla dorosłych — patrz w dziale recenzji. (n)

STEFAN LEGEZYŃSKI

TRZY WIERSZE

PARK

Coraz mniejszy obcinany
wycinany ogradzany,
drapaczami nakrywany, hukiem
rozdarty, wypełniony samochodami
jest parodią wytechnienia.

Nasze życie jego parodią,
spotkania cieniem kontaktu,
zakrzyczani, zatłumieni jak Park,
który ohydnieje z dnia na dzień.

PODRÓŻ NAKOŁO NUDY

Bańka z benzyną, stare blachy
i wał co kręci się po środku,
zieloną miesza słoną wodę,

na wodzie ul ciągniony śrubą
wyspy schlapane brudną pianą
nr kuli, która dosyć duża

A staruszkowie i staruszki świat
ogładają naokoło
a młodzi
kochają się w kajutach ciasnych

i chłopie śruba a wał gruby
porusza się w okrętu brzuchu
ryb latających jasne grotty
fruwają wokół równej nudy.

MARZENIE O WŁOSZECH

Italia to but z kwiatów
lub Chianti butelka
dnem odwrócona.

Rzym pierś — z kopuły sutką.
Genwa wargami
uroczej Zofii*).

Leć myślą przez ciebie,
kraju sztuki codziennej,
w głąb wlewej historii,
polskiej walki.

*J. Loren.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

KULTURA każdego narodu, a więc i jego charakter narodowy, jest wynikiem tylu wątków historycznych, iż próba oddzielenia naprawdę ważnych od mniej istotnych: nie tylko jest sprawą trudną, lecz często wypacza obraz zamiast go uplastyczać. Złazacza gdy przystępuje się do analizy z pewnym celem założonym z góry i w oparciu o przesłanki ideologiczne nie wiele mające wspólnego z bezstronnością naukową. Niekiedy wszakże wybór jest trafny. Bo rzeczywistość w psychice każdego narodu pewne zespoły czynników odgrywają rolę większą niż u narodu sąsiedniego. Albo też, choć rzadziej, jakiś naród posiada jakiś wątek tradycyjny, którego sąsiad jest pozbawiony. Lecz i wtedy gdy wybór jest trafny, gdy z mnóstwa wątków rozwojowych, wyodrębniamy naprawdę najważniejsze, wnioski mogą być błędne, względnie nazbyt uproszczone. Złazacza wtedy, gdy szeregowi zjawisk przypisujemy magiczną niemal rolę przyczyn i wytłumaczenia całokształtu kultury narodowej w kształcie współczesnym.

Któż zaprzeczy, że wśród wątków kulturowej tradycji polskiej dwa wybijają się przed wszystkie inne? Mały na myśli wątek szlachecki i wątek kultury i tradycji chłopskiej, niezbyt szczęśliwie nazywany niekiedy „ludową”. Ich przewagę nad innymi przyznają wszyscy badacze bez względu na metodę jaką się posługują w swych dociekaniach i bez względu na ideologię jaką wyznają. Różnice następują w ocenie, nie w samym rozpoznaniu faktów. Różnice występują także w analizie ich obecnej, współczesnej atrakcyjności psychicznej. Innymi słowy w docenianiu, przecenianiu lub niedocenianiu ich wpływu na dzisiejszy obraz kulturowej i psychicznej rzeczywistości polskiej.

A zatem zgodność ogranicza się do strony formalnej, strony historycznej. Nie trudno o nią. Wiemy, że oba wątki istniały przez ciąg życia kilkudziesięciu pokoleń. Wiemy, że pamięć o nich nie wygasła, chociaż straciły już od raczej dawna swą pierwotną podstawę ustrojową. Powiedzmy więcej: nie tylko utraciły podstawę i uzasadnienie rozumowe — nie w tym rzecz czy uzasadnienie takie było kiedykolwiek słuszne czy nie było — ale, co ważniejsze, Polacy w działaniu i odgórnym i oddolnym dołożyli starań by tym dwóm wątkom odebrać możliwość mnożenia nowych konfliktów społecznych. A także odebrać im moc oddziaływania na psychikę, inaczej niż w sensie pamięci o tym, że były i być już niepowinny.

Lecz czym innym jest życzenie by coś było lub by czegoś nie było czym innym zaś ślad psychiczny czegoś co było w umysłach i w życiu ludzi, którzy są. To znaczy żyją dzisiaj. Człowiek może w pewnym okresie życia dojść do wniosku, że żył niewłaściwie. Ze nabrał złych nawyków, że zniszczył sobie zdrowie a przez własną lekkomyślność zawiódł swe własne nadzieje. Może wówczas postanowić żyć inaczej niż żył dotychczas. Lecz nie przekreśli tego co się stało. Nie spowoduje by się coś „odstało”. Może najwyżej starać się coś nadrobić. Ślad psychiczny, nie mówiąc już o skutkach materialnych, pozostanie. Chociażby w postaci gorzkiego rozpamiętywania. Lub radosnych wspomnień. Jak kto woli. Podobnie — oczywiście tylko podobnie a nie zupełnie tak samo — ma się sprawa ze społeczeństwem, z narodem. Wśród Polaków ślady psychiczne dwóch wątków ich kultury i historii — wątku szlacheckiego i wątku chłopskiego — są widoczne nawet w współczesnej nam rzeczywistości kulturowej. Znajdujemy je w dziedzinach tak bardzo zabezpieczonych przed współczesną od filmu zaczynając a na ralarstwie abstrakcyjnym kończąc. Znajdujemy je w dziedzinach znaczących

PAWEŁ ZAREMBA

WĄTEK CHŁOPSKI I SZLACHECKI

nie ważniejszych. Znajdujemy je przede wszystkim w życiu codziennym milionów Polaków. W życiu codziennym to znaczy na polu, które jest głównym warsztatem tworzenia się kultury, powstawania i zanikania tradycji. Szlachetczyzna i tradycja chłopska wychodzi obronną ręką w borykaniu się z bardziej racjonalnym, wyrozumowanym podejściem do życia w wartościowaniu, i szeregowaniu znajomych, podwładnych i przełożonych.

Jeśli tak jest i skoro tak jest nie wystarczy postanowić by tak nie było. Gdy postanowienie będzie bezskuteczne. Przynajmniej do czasu nim nie dokona się analiza samego zjawiska. Analiza taka, jak każda analiza socjologiczna doprowadzić powinna do oddzielenia pozorów od prawdy, do przedarcia się przez zasłonę zbudowaną z anegdotycznych uproszczeń potę by dopatrzeć się istoty zagadnienia. Istotę zagadnienia w tym wypadku ująć by można w dwa pytania:

Pierwsze: który z dwóch wątków tradycyjnych kultury polskiej to znaczy wątek szlachecki i wątek chłopski wywarł większy wpływ na psychikę narodową polską;

Drugie: czy były to, względnie są, naprawdę wątki przeciwstawne, antagoniczne, czy też były lub są dwoma wydaniami tego samego procesu rozwojowego psychiki zbiorowej na przestrzeni stuleci.

Przystępując do tego rodzaju analizy natrafiamy z miejsca na trudności nawykowe. Polegają one na dokładnym wymieszananiu pojęć i terminów. Z nich wypływa powierzchowność obserwacji. Gdy mówimy potocznie „kultura szlachecka” przychodzą nam na myśl zjawiska psychiczne i historyczne tej kategorii co „sejmikowiadztwo”, „sarmatyzm”, „warcholstwo”. A obok nich jakieś szcztkowe wizje rycerskości, jakaś husaria i jacyś ulani, kontusze, rogatywki, omal że nie kuranty ze „Strasznego Dworu” Moniuszki. A z czasów bliższych, których pamięć jest jeszcze wcale świeża u niejednego z żyjących Polaków, tak zwany „świat ziemiański” — tytułaturę „panie dziedzicu”, humorystyczne lecz przecież prawdziwe zapytania „z których Janickich” i wreszcie sygnet bynajmniej nie dyskretnie noszony na palcu lewej ręki. Z drugiej zaś strony słowa „tradycja chłopska” łączą się z zadawnionymi wspomnieniami walki o uwłaszczenie, z wspomnieniami pańszczyzny, a także z chciwością posiadania ziemi, z indywidualizmem w systemie gospodarki na własnym kawałku gruntu, z uporem, wytrwałością i nieufnością do wszystkiego co nie jest „chłopskie”. „Kultura ludowa” zaś nasuwa przed oczy tańce z „Mazowsza” czy ze „Śląska”, folklor, procesję w Łowiczu, jakieś przyspiewki weselne, jakieś słowa gwarowe i tym podobne marginesowe zjawiska kulturowe.

Lekceważąc tych zjawisk i objawów marginesowych nie należy. Podobnie jak szcztkowych pozostałości szlachetczyzny. Nie tylko dlatego, że są ciekawe, lecz przede wszystkim, że mają ciągle dużą moc atrakcyjną. Większą niż człowiek współczesny gotów się przyznać nawet przed samym sobą.

Z tych samych wszakże względów, dla których nie należy tych zjawisk marginesowych lekceważać, nie należy ich też przeceniać. Nie one bowiem są podstawą specyfiki formacji psychicznej Polaków. Na tę składają się zjawiska o wiele ważniejsze. Z powodu ich powszechności i powtarzalności można je określić jako „typowo polskie”, choć nie wynika z tego rzecz

jasna, by były monopolem Polaków i gdzie indziej nie były znane. Zatrzymajmy się nad kilkoma. Nad zjawiskiem odruchowości reakcji. Określa się je także inaczej i na wiele sposobów. Na przykład jako „talent improwizacji”. To „komplement” Ale „słomiany ogień” znaczy to samo i komplementem nie jest. Więc termin naukowy, choć suchy, taki jak „odruchowość” będzie chyba lepszy. „Odruch” w psychologii definiujemy jako działanie natychmiastowe, popędzone krótką tylko i zapewne powierzchowną refleksją myślową. Socjologia widzi w nim postępowanie nie szukające uzasadnień, często bezplanowe, a zawsze prawie związane z niechęcią podporządkowania się sztywnej ramie organizacyjnej. Odruchowości wypatryć można sporo u Polaków, zarówno w ich historii jak i w życiu codziennym. Skąpo się wzięła, skoro tak mało jej u narodów sąsiednich, pokrewnych językowo i kulturalnie jak na przykład Czesi lub Ukraińcy? Więc może tradycja wiekowa szlachetczyzny, owego sejmikowania „kupą mości panowie” jako namiastka organizacji i namiastka planu? Z ko-

nieczną w takich wypadkach ostrożnością zgódźmy się na to tłumaczenie.

Ale z jednego pytania wypływa natychmiast następne. Przecież tradycja historyczna nie działa w podświadomości. Przeciwnie świadomości jest jak najbardziej potrzebna po to by tradycja mogła wywierać wpływ na działanie. Szlachetczyzna utożsamiona z warcholstwem nie powinna mieć dziś żadnej siły atrakcyjnej. Tak. Ale „warcholstwo” to tylko wypaczenie indywidualizmu, przywiązania do własnego zdania, wiary we własne siły i ochoty działania samemu bez oglądania się na to, że ktoś coś za mnie załatwi lub powie mi co mam robić. Czy tradycja indywidualizmu sięga także korzeniami ustroju Polski przedrozbiorowej? Zapewne tak jest. Lecz gdzie wśród Polaków przechował się indywidualizm w najczystszej i najsilniejszej postaci? Czy wśród tak zwanej inteligencji, doczepianej „genealogicznie” do warstwy szlacheckiej, gdyż ona rzekomo miała dać jej początek? Chwila zastanowienia każe nam odpowiedzieć przecząco. Nie, indywidualizm zachował się najwyraźniej właśnie wśród najliczniejszej

warstwy społecznej w Polsce, to znaczy wśród chłopów. Czyżby dlatego, że ona jedna zaczęła dotychczas uchować choć w części podstawy indywidualne materialnego bytowania, jaką jest ziemia, własny kawałek gruntu, własny warsztat pracy? Jeśli zgodzimy się bez zastrzeżeń z tym twierdzeniem zarysujemy prawdziwie błędne koło. Gdyż równie trafną może być odpowiedź, iż chłop polski dotychczas zachował dotychczas indywidualne podstawy materialnego bytu, że był indywidualistą... Czy był indywidualistą gdy istniała pańszczyzna, czy też indywidualistą był wtedy tylko jego pan? Gdyby tak było miało, wówczas moglibyśmy sądzić, że dziedzicem kultury szlacheckiej, owej szlachetczyzny w złych i w pozytywnych jej przejawach stał się właśnie chłop.

Postaramy się pytaniu temu poświęcić osobno więcej uwagi. Lecz już w oparciu o to co powiedzieliśmy dotychczas, wylania się podejrzenie, że gdyby odrzucić marginesowe przejawy „ludowości” i „szlachetczyzny”, wówczas zarówno punkt wyjściowy jak i kierunek rozwojowy szlacheckiej i chłopskiej tradycji kulturowej w Polsce z przeciwnych przekształcał się w zbliżone.

W wyraźnym przeciwieństwie do historii i współczesności w innych krajach europejskich.

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

NOTATNIK PODRÓŻNY ZE SZK

DALMENY CRICHTON

Kościółek parafialny w Dalmeny zachował prawie nienaruszony charakter dojrzałej romańskości. Absyda o trzech wąskich, ozdobnie oprawnych oknach, z wieńcem kamiennych masek u podszczy, wschodni portal — wszystko urzeka skromnym ale ozdobnym pięknem. Klimat i czas nadwyrężając rzeźby nie oszczędził ich przecież. Mniej czytelne — tym bardziej zaciekawiają. W uśmiechach masek jest coś z makabrycznego humoru. Gryfy, lwy i centaury czuwają nad wejściem. W ich ruchach jest obok mocy, majestatyczność, namysł. Dziwić się też nam muszą — przychodząc tu na chwilę, gnany dalej niecierpliwością żywota.

Pod chmurnym, zmiennym sklepieniem nieba, któremu daleko do statycznej doskonałości romańskich łuków ruszamy na wschód, by osłaniając szarym skrzydłem przelotnej ulewy, dobrać do Crichtona. Średniowieczna sylwetka zamku dobrze pasuje do surowego krajobrazu. Ale gdy wspiąć się na niewielkie wzgórze, gdy stanąć u murów, zaczynają zastanawiać niektóre szczegóły. Przecież przetrwała się w pewność gdy wkroczyć na podwórze. Jego śródziemnomorska renesansowość tak jest oczywista i przekonująca że — gdy na chwilę rozjaśnia się niebo — łatwo zapomnieć o bagnistej dolinie rzeki Tyne gdzie zawodzi kuliki, tuż u stóp wzgórze, o Edynburgu, do którego nie dalej stąd niż kilkanaście mil.

Dziedziniec zamkowy — raczej ozdobna piazza — arkady, kapitele kolumn, cieszą wzrok. I nie trzeba go odwracać: bo złudzenie pryśnie. Za plecami solidna średniowieczność pierwotnej budowli trwa jak pomnik feudalnej Szkocji XIV wieku.

Wracając z zamku zachodzimy na

ementarz dawnej kolegiaty a obecnie już tylko kościoła parafialnego. Idziemy powoli odcyfrowując napisy nagrobków, daty, nazwiska, wzruszając sentencje.

— Patr — woła Janusz — patr! On trupowi gra na trąbce!

— Kto?

— Ależ Anioł oczywiście!

Prawda: na niskim kamieniu, ponad napisem któremu ulewy i wiatry dawno odebrały czytelność. Michał-Archanioł budzi zmarłego na Sąd Ostatczy. Ale cóż za koncentracja symboli: nieboszczyk jest reprezentowany tylko częścią trupiej czaszki. Archanioł, to głowa z której wyrastają dwa skrzydła. A trąba... — ta, jedyna w całej kompozycji, jest rekwizytem realistycznym: wierny wizerunek trąbki staroświeckiego pocztyniona, na jaką trafić łatwo do dziś jeszcze w prowincjonalnych muzeach.

— Ciekawym jaki też był ten napis?

— Oh, mogę ci go odczytać...

— No?

— „...Bo kto zaufał Chrystusowi Panu I szedł na święte kraju werbowanie Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu Na trąbę wstanie...”

— Rzeczywiście — poważnie zgadza się Janusz który zawsze gotów jest wierzyć w rzeczy niemożliwe, byle jako tako „pasowały do obrazu”.

MELROSE

Miasteczko od północy przytulone do rzeki Tweed, od południa sięga do stóp Eildon Hills. Nicco z boku od niepozornych zabudowań, knajp, hotelików i zgiełkowego rynku cysterskie opactwo zachowało się w imponującej ruinie.

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI

TAZAB

Tel. FRE 3175

22, Roland Gdns. London S.W.7

W NOWYM YORKU: TAZAB, 100 East 10th str., N. Y. 3 N. Y.

LEKARSTWA!

W Francji: **ELKA S.A.R.L.** 20 rue Legendre Paris 17

LEKARSTWA!

„The earth goath on the earth
glistening like gold
The earth goes to the earth sooner
than it wold
The earth builds on the earth
castles and towers
The earth says to the earth all
shall be ours”

(„Ziemia kroczy po ziemi, jak złoto
lśni i pała
Ziemia idzie do ziemi prędzej niżby
ciała
Ziemia wznosi na ziemi zamki
baszty
Ziemia mówi ziemi wszystko to
będzie nasze”)

Po kolacji, o szarej godzinie ruszamy na wzgórze Eildon. Chwilami owija je przelotna chmura, to znowu wylaniają się jak trzy pochylone ku sobie postacie. Gdy dochodzimy do szczytu jest już noc. W dole rozległy widok rysowany światłami miasteczek, wiosek, przysiółków. Tu — osamotnienie, widok chura. Brzmia w uszach jak refren, słowa z nagrobka: „The earth says to the earth all shall be ours”.

CZESŁAW JEŚMAN

KŁOPOTY MALTAŃSKIE

NAOKOŁO ŚWIATA

Nie. To nie będzie ani o Villa Malta ani o tym dlaczego ten i ów mógłby zostać profesorem, ale nie zostanie. I nie wiadomo dlaczego, bo...

Innymi słowy nie przechodzi mi przez myśl zdrodzone gadulstwo o Wojennym i Suwerennym Zakonie Św. Jana Jerolimskiego, zwanego potocznie Zakonem Maltańskim. Będzie natomiast o Malcie, wyspie.

Geograficznie są to trzy wyspy: Malta, Gozo i Comino, 121 mile kwadratowe powierzchni, jasno żółtego albo szarżółtawego piaskowca. Trochę drzewek, kilkanaście odludnych plaż, szczególnie na Comino, nieodkrytych jeszcze przez najazd turystów, kilkanaście drzew iglastych, dużo urodzajnych ogrodów ważywnych, hotel „Fenicja”. Zaskok, czy coś w tym rodzaju i architektura w kamieniu, do łupanego z epoki neolitycznej od cedzonego z epoki atomowej. Architektura ozdobna i użytkowa, w ruinach, zabytkowa, wykopaliskowa, barokowa. Dostaje się klastrofobii na tych wyspach rzeczywistości „skapanych w słońcu”, jakby napisano w okresie Heleny Mnisek, od tych skurczonych kamienistych górki przeciętych zatokami i podobnych z powietrza do kopca zmiętej, twardej tektury rzuconej na intensywnie granatowy dywan. A mieszka na nich nieprawdopodobna ilość, 328 tysięcy autochtonów.

Twierdzą o sobie z dumą, iż są po-

tomkami Fenicjan. Jest to twierdzenie bardzo wątpliwe. Św. Paweł Apostoł, jeden z pierwszych acz przymusowych turystów na Malcie, nie pozostawił żadnych przekazów o narodowości i języku Maltańczyków. Nie ulega wątpliwości iż są oni pochodzenia semickiego, mocno przemieszanego z Sycylijskimi, ile że archipelag maltański leży o 58 mil morskich zaledwie na południe od Sycylii. Arabowie i Turcy i tzw. Lewantyńcy — nieokreślona mieszanka południowo-wschodnich ras basenu śródziemnomorskiego — też przyczynili się do powstania dzisiejszego, bardzo wyraźnego i swoistego typu maltańskiego. Język maltański tak się ma do arabskiego, jak portugalski do hiszpańskiego, tzn. Maltańczycy rozumieją Arabów, ale Arabowie Maltańczyków nie rozumieją. „Miasto” po arabsku jest „medina” a po maltańsku, mniej więcej, „mdinet”.

Historia Malty jest jednocześnie i doskonale znana i zupełnie niedostępna dla cudzoziemców. Wynika to stąd, iż od zarania paleolitu aż do chwili obecnej ludność jej żyła własnym życiem, a rządzący nią własnym; więzi pomiędzy nimi nie było. Historia oficjalna zna tylko nazwiska i dzieła prokonsu-

łów rzymskich, szejków arabskich, tharów skandynawskich i wielkich mistrzów Johannitów (...przepraszam, Zakonu Maltańskiego...). Dashiell Hammett, arcy mistrz amerykańskiej powieści kryminalnej osnuł na temat jednej z Europy historii swoją najlepszą książkę „Sokół Maltański”, a ona z kolei, dostarczyła fabuły do wspaniałego filmu o tejże nazwie. Grał w nim Humphrey Bogart i złowieszczy a tłusty Sidney Greenstreet, wspaniały aktor charakterystyczny Londynu i Hollywoodu. Obaj już nie żyją.

Podobnie też istnieje na wyspie „sama w sobie”, starożytna i podryzowana na włosko, arystokracja. Rodziny te uzyskały przeważnie tytuły aragońskie i Świętego Cesarstwa. Noszą dzwienne nazwiska, np. książąt Dragonaria. No, i są uznawani przez Koronę Brytyjską, mimo że nie obsyają Izby Lordów.

O Zakonie Św. Jana Jerolimskiego, wypartym z wyspy Rodos w XIV wieku przez Turków i przez następne cztery stulecia z okładem stanowiącym tam ekspansji muzeumalmskiej, napisano biblioteki całe. I słusznie. Było to bowiem zupełnie wyjątkowe pomieszczenie szczytnych hasel krucjat i zorganizowanego rozboju morskiego, snobizmu i, nierządu, wyjątkowego hartu i odwagi. Dzikie Pola przyprawione Almanachem Gotajskim zanim jeszcze ukazał się pierwszy jego tom w druku i okadzone prawdziwą, często, pobożnością.

Anglicy nastali na Malcie w roku 1798-mym. Głównie po to żeby odciąć Bonapartemu powrót z Egiptu, Mieli wynieść się z wyspy po zakończeniu działań wojennych i siedzą do dziś dnia. A od końca drużej wojny światowej o niczym innym nie marzą jak o wyniesieniu się za każdą nieomal cenę. I jakoś nie zapowiada się na to.

Podobno na Kongresie Wiedeńskim ktoś zapytał księcia Wellingtona, jaką konstytucję uważałby za najwłaściwszą dla wyspy? Pogromca Napoleona odpowiedział, iż okrętom wojennym konstytucji nie nadaje się; istnieją po to żeby walczyć i zwyciężać. Było w tym dużo słuszności. W XIX stuleciu, od aneksji w roku 1814-tych — a szczególnie po przekopaniu Kanału Sueskiego, Malta była najcenniejszym, niezatapialnym pancernikiem Imperium Brytyjskiego, jedną z jego kluczowych baz morskich. Ludność miejscowa, obojętna na admirałów angielskich, podobnie jak przedtem mało wzruszająca się wielkimi mistrzami zakonu w czarnych płaszczach ozdobionymi białymi, ośmiorniczymi krzyżami, doskonale przystosowała się do kolejnej odmiany losu. Malta stała się kolonią angielską i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ani przeludnienie ani kamieniste poletka nie groziły zagładą przy każdej poważniejszej przeciwności losu. Kto chciał emigrować gdzie chciał a kto nie chciał żył z doków, arsenału i garnizonu brytyjskiego.

Złote czasy zakończyły się wagneriańską katastrofą. Co prawda tenże książę Wellington, mówiąc o Malcie, dodawał

nieodmiennie: „okręty liniowe, w każdym razie, są przestarzałe”, ale aż do Goeringa nikomu nie mogło przyjść do głowy, iż „niezatapialny pancernik” można jednak „zatopić” z powietrza. Kto jak kto, ale Malta z pewnością zasłużyła na zbiorowy Krzyż Św. Jerzego, najwyższe odznaczenie bohaterstwa „cywilnego”. Dla „ahisterycznych” autochtonów stanowił on małą pociechę za poniesione cierpienia i straty. Tyle, że ofiar wśród ludności, od bomb, było stosunkowo niewiele. Poważniejsze przykrości zaczęły się po wojnie. O konstytucję.

Od roku 1925-go mniej więcej, Malta była ustrojową anomalią. Pozostawała ciągle kolonią, ale miała samorząd wewnętrzny. Gubernator mianowany z Londynu odpowiadał jedynie za politykę zagraniczną, obronę i policję. Podstawą gospodarki narodowej był po dawnemu arsenał, Bronie atomowe i lotnictwo ponaddwukrotne wykończyły jednak Malte. Nie niszcząc jej, ale przenosząc strategię do innych kategorii. W czasach taktyki wodorowych pocisków międzykontynentalnych Malta z pierwszorzędnej bazy stała się nieważnym punktem etapowym. Arsenaly zostały zamknięte a parlament westminsterski ochoczo przystąpił do obdarowania Maltańczyków niezawisłością polityczną. Od roku 1945 przygotowano z tuzin projektów reform ustrojowych. W roku 1959 Malta miała stać się hrabstwem Wielkiej Brytanii, jak Kent czy Shropshire. Maltańczycy odrzucili ten pomysł ze względu na nikłość obiecanych subsydiów rządowych. Na wyspie zaś za lby wzięli się dwaj przywódcy: dr Borg Oliver, od nacjonalistów, i Dominic Mintoff, od socjalistów. Arbitrem zaś był i jest prymas Malty arcybiskup Michael Gozzi, niewielki wzrostem ale niezwykle twardy staruszek. Właśnie ukończył lat 79, i w niczym nie osłabiło to jego animuszu. Jest chyba ostatnim wojującym renesansowym purpuratem na świecie. Chodzi mu o prymat Kościoła we wszystkich sprawach ustrojowych. Rządowi angielskiemu zaś i socjalistom bardzo nie podobał się najnowszy projekt konstytucji niepodległej Malty, przygotowany przez nacjonalistów Borg Olivera. Jest najbardziej ultramontański i katolicyzm jest uznany w nim za religię państwową. Wyznaje go zresztą, przynajmniej nominalnie, 99 procent ludności. Oliver zresztą sprawuje w tej chwili rządy jako kompromis. Od 1959 do 1962 roku bowiem brytyjskie ministerstwo kolonii raz jeszcze i z nieukrywaną niechęcią podjęło się bezpośredniej odpowiedzialności za losy wyspy. Żaden z prawników konstytucyjnych nie potrafił określić czym właściwie była Malta w czasie tego trzylecia. Niewątpliwie gniazdem os i szerszeni. Ostatecznie Oliver dał się uprosić na premiera „samorządowego” i natychmiast przystąpił do przygotowania swojego projektu, odzyskując się z góry od jakichkolwiek przyszłych związków z Koroną Brytyjską. Cóż kiedy plebiscyt i tym razem uniemożliwił

uporządkowanie przynajmniej osobowości międzynarodowej Malty. Za konstytucją głosowało 65.714 osób, przeciw 54.919, pod przewodnictwem Mintoffa a pomimo grzmotów arcybiskupa Gozziego, a 9.016 głosów unieważniono. Wobec tego sprawa utknęła w martwym punkcie. Ministerstwo kolonii w dalszym ciągu obarczone jest administracją wyspy a jedyną nadzieją Londynu jest przekonanie Olivera o konieczności złagodzenia niektórych aspektów projektu konstytucji tak aby ponowne referendum mogło wyposażyć ustrój przyszłej niepodległej Malty w bardziej wyrażną aureolę poparcia zdecydowanej demokratycznej większości.

Wszystko to jest przelewaniem z pustego w próżne; czasy się zmieniły zasadniczo i żadna siła nie powróci do wspaniałej zatoki w La Valette stałowych obrzmów Eskadry Morza Śródziemnego Marynarki Królewskiej, pilnującej najważniejszego morskiego szlaku z metropolii do Indii, najjaśniejszego klejnotu Imperium Brytyjskiego. A bez tego widoki Malty są mizerne przy każdym ustroju. A tak nastrojowo widok Malty opisał Henryk Sienkiewicz w zakończeniu swoich „Listów z Afryki”. Zdawaloby się wizja odległej przeszłości. A nie upłynęło nawet 75-ciu lat od tych zamierzonych, przedpotopowych czasów.

LISTY DO REDAKCJI

PISMO PIUSA XII DO GENERAŁA ANDERSA

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Orla Białego” z dnia 21-28 maja br. znajduję pod tekstem listu Piusa XII do Gen. Andersa z dnia 27 stycznia 1945 „okienko” które zaczyna się od zdania:

„Dziś dopiero, po dwudziestu prawie latach, udostępniono nam dokument, którego tekst w przekładzie polskim drukujemy powyżej”.

Dokument ten udostępniony był publiczności polskiej od 1945 roku, tj. od chwili gdy ukazał się w mojej pracy „Pius XII a Polska”, Rzym 1945, na str. 111 i nast. z obszernym komentarzem.

A toutes fins utiles przesyłam Panom jeden egzemplarz tej książki osobną pocztą.

Łączę wyrazy prawdziwego mego szacunku i poważania. (—) K. Papée, Ambasador R.P.

Dziękując Ambasadorowi R.P. przy Stolicy Apostolskiej za powyższe wyjaśnienie, stwierdzamy wszakże, że udostępnienie nam oryginału dokumentu nastąpiło dopiero po jego dotarciu do adresata, tj. w kwietniu br. Dziękujemy również za przesłaną książkę. — Red.

PRAWDA I KRAŃCOWOŚĆ...

Szanowny Panie Redaktorze,

Zjazd delegatów SPK w Afryce Południowej nadesłał do władz głównych Stowarzyszenia protest przeciwko pogardliwej i wysoce niesprawiedliwej formie wyrażania się o Polakach z tego kraju przez Czesława Jeśmana w artykule „Handelek sowiecko-południowo afrykański” zamieszczonym w „Orle Białym” z daty 11-26 grudnia, 1963.

Autor krytykując naszych rodaków za ich stosunek do problemu ludzi kolorowych, zaczyna tę część swoich uwag od zdania: „W związku z Afryką Południową małe, ale obrzydliwe „polonicum emigracyjne”. A w innym znowu miejscu posługując się cytatem z Norwida; „już mi obrzydło mówić na bydlę, że nie bydlę”.

Jaskrawość tych uogólnień, a z drugiej strony, pasja z jaką p. Jeśman potępia totalnie swoich współziomków z Afryki, a także Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych za jeden tylko rys, budzący w nim zastrzeżenia, charakteryzują autora i nie wymagają komentarza.

Nie ma też potrzeby bronić Polaków z Afryki Południowej czy skądinąd przed p. Jeśmanem. Publicysta powinien szukać prawdy, a ta nigdy nie leży w krańcowościach.

Zarząd Federacji Światowej SPK

Nieobecność Czesława Jeśmana sprawia, że druk jego Komentarza do powyższego listu odłożyć musimy do następnego numeru (red.).

(II)

skandaliczną sławę i nabawiając się przewlekłej choroby. Tu także słynny z dzielności i okrucieństwa Wilhelm Duglas — na którego herbowej tarczy serca mieszają się z lwami i gwiazdami — zagłodził na śmierć wziętego do niewoli rywala i poprzedniego pana zamku, Aleksandra Ramsay.

W izdebce kustozza jest zacisznie. Słuchamy opowieści o Duglasach wspinających się bezszelestnie po gładkich ścianach zamków przy pomocy sznura zakończonych stalową kotwicą, o ludziach tutejszych, o różnych rodzajach kobz, i Druidach.

Gdy odurzony ciepłem i gawędą odchodzimy, wiatr jak opryskliwy towarzyszy chwytając nas i popycha ku wzgórzom okrytym wrzosem, pooranym jarami. Co chwila spoglądamy wstecz. W oddaleniu zaciera się po kolei: mostek, strumień, ruiny pustelni. A i zamek, tak potężny i groźny z bliska, zamienia się w ciemny punkt na szarej pochyłości.

Po wielu godzinach wspinania się i marszu wracamy pod zamek by wyruszyć w drogę na południe, ku bliskiej granicy. Żadne światła nie łagodzą ciemności. Gęstniejący mrok i pustka. To nie prawda, że noc jest matką bajek i przewideń. Wołające z niej głosy, ciemne kształty, są świadkami prawdy. Tajemniczej prawdy ziemi, o której istnieniu zapominamy wśród codziennych zajęć i trosk. Prawdy, która schroniła się przed wrzaskiem i zaduchem wielkomięskim w pograniczne wzgórza i tu czeka, jak ptak drapieżny, na wędrowca.

Znaczny wzrost liczby wypadków przy pracy

W roku ubiegłym — jak podaje reżymowy Inspektorat Ochrony Pracy („Głos Pracy”, nr. 112) — „nastąpił znaczny wzrost liczby wypadków przy pracy w komunikacji, przemyśle lekkim, chemicznym, leśnictwie i przemyśle drzewnym oraz w gospodarce komunalnej. Do niebezpiecznych gałęzi gospodarki, które zmniejszyły liczbę wypadków we wszystkich kategoriach — należy przemysł ciężki”.

Wspomniany Inspektorat nie podaje ogólnej liczby wypadków przy pracy. Informuje tylko, że ilość ich w całej gospodarce na terenie Polski wzrosła o 2,5 procent. Natomiast liczba wypadków śmiertelnych obniżyła się o 4,1 procent. Według danych warszawskiego „Przeglądu Kulturalnego” (nr 43, 59 r.) w latach 1955-58 na skutek ciężkich wypadków przy pracy 112.238 osób głównie robotników, stało się inwalidami. Tygodnik ten informował, że rocznie ulega ciężkim wypadkom przeszło 60.000 pracujących w różnych fabrykach i kopalniach. Miesięcznik „Praca i Zabezpieczenie Społeczne” (lipiec — 1963 r.) pisał, że inwalidzi ci otrzymują miesięcznie 692 złote i 4 grosze.

(FEC)

ADAM CIOLKOSZ KAROL MARKS A POWSTANIE STYCZNIOWE

Praca ta, wynik żmudnych badań, których wyniki obalają niejedną od dawna uswieconą fikcję, a także fałszywe komunistyczne historyki. Autor odwarza prawdziwy obraz Pierwszej Międzynarodówki, w której — jeśli chodzi o stosunek do Polski — ścierały się z sobą dwa prądy: jeden, skupiony wokół Marksa i angażujący się zdecydowanie w poparcie dla sprawy polskiej i drugi, pozostający pod wpływem Proudhona, zdecydowanie dla Polski nieżyczliwy. Przez 40 lat Marks słowem żywym i drukowanym niestrudzenie bronił praw Polski do niepodległości, gdyż widział w niej wielkie ognisko wolności państwa pruskiego i carskiej Rosji. Plastycznie odtworzony obraz walk wewnętrznych w Pierwszej Międzynarodówce przykłada uwagę czytelnika od pierwszych do ostatnich słów tej rewelacyjnej rozprawy, stanowiącej ostatnie słowo badań na temat stosunku Marksa do sprawy polskiej. 14 ilustracji, niektóre z nich opublikowane po raz pierwszy, zdobi tę pracę.

Cena 10 sh., 7 NF., \$ 1.50.

Skład główny: GRYF PUBLICATIONS LTD,
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W. 11.

ZKOCJI

HERMITAGE CASTLE

O kilka mil od Melrose, schwytnie w pętlę rzeki Tweed, ale na jej przeciwnym brzegu, jasnieją ruiny opactwa Dryburgh. „Jasnieją” — nie jest przenośnią: zbudowane z kamienia o ciepłej barwie, zdają się świecić wśród ciemnej, soczystej zieleni. Kiedyś obok tej siedziby Kanoników Regularnych, założonej niemal równocześnie z opactwem w Melrose, było miasto — ale znikło. Zapomnianie także o brodzie przez rzekę, a prowadząca doń droga zarosła krzakami. Wśród ruin groby. Ale nie średniowiecznych opatów. Spoczywa tu Walter Scott, członkowie jego rodziny, a także feldmarszałek hrabia Haig. Na grobach świeże wieńce, kwiaty... Gdy oglądamy się wstecz z niedalekiej drogi, nie widać już ścian, kolumn. Ostatni tylko błysk kamienia przez zachlanny gąszcz i opactwo mika jak przychylny duch.

W drodze na południe, zatrzymujemy się jeszcze w Jadburch. Po budynkach klasztornych pozostały ledwie wąte ślady, ale mury prawie nienaruszone, tyle że nie nakryte dachem, dają dobre wyobrażenie o tym jak kiedyś wyglądała całość. Romańszczyznę obrasta tu wczesny gotyk. W zachodniej ścianie wysmukłe okno a zaraz nad nim ozdobna rozeta. Wygląda to jak kolosalny wykrzyknik, dla patrzących z dołu, z nawy wyrócony do góry nogami i nieczytelny; nabierający sensu dopiero gdy spojrzeć nań z góry, z niebiosów. U odzwini poważna, nieco ciężka ozdoba.

Wszystko w tych nizinnych stronach świadczy o dawnej zamożności, o kulturze, która dobrze zapuściła korzenie już we wczesnym średniowieczu. Ale wprędce krajobraz zdziczeje, pustoszeje. Nikną osiedla, zaczyna się górzysta, nieurodzajna, owcom tylko przychylna kraina przygraniczna, Cheviot Hills. Tędy przez wieki chadzały grupy rabusiów na łupieżne wyprawy. Na ziemi niemal niczyjej, groźnej, nie było miejsc na sielskie uroki w ziemiankim dworku czy wiejskiej zagrodzie. Wznoszono za to — i do dziś trwają — warownie.

Sylwetka zamku Hermitage — nad rzeką tejże nazwy, obok wczesno średniowiecznej pustelni, która dała nazwę miejscu — nie zmieniła się prawie przez ostatnie pięć wieków. Wokół nieprzystępnych, groźnych murów owinęło się wiele, ponurych legend. Ale udokumentowane dzieje nie są mniej krwawe i romantyczne.

Tu, 15 października 1566 roku królowa Maria odwiedziła swego ukochanego, Jakuba Hepburn, czwartego hrabiego Bothwell. Królowa 50-milową podróż z Jadburcha i z powrotem, na wskroś wrzosowisk i pustaci odbyła w ciągu jednego dnia — zyskując sobie

J. P. H.

Wyspa odwrócona od Morza

Zanim Pan Bóg odпочał w siódmym dniu stworzenia zapragnął przyrzeć się swemu dziełu. Zwłaszcza Morze Śródziemne i wszystko czym je otoczył bardzo mu się spodobało. Patrząc z radością na bogatą linię wybrzeży, na góry i doliny, na bujną roślinność i na lazurową toń wody. Tutaj człowiekowi będzie dobrze. Tutaj zbuduje Rzym i Ateny i da początek wielkiej kulturze. Pan Bóg odszedł i na samym środku Morza Śródziemnego pozostawił odcisk swojej stopy. Tak powstała Sardinia.

Bardzo to stara legenda i Sardynczyści przytaczają ją często. Zwłaszcza gdy z melancholią i z żalem wspominają bogate a przecież smutne dzieje swojej wyspy lub gdy oburzają się na rząd i na polityków w dalekim Rzymie lub w bliskim Cagliari, że myśląc o wielkich sprawach zapominają o Sardynii. Moral legendy nie wymaga omówień: Pan Bóg nie zauważył Sardynii, gdy ją stworzył a stworzywszy zapomniał o niej.

W rzeczywistości zapomnieli o niej ludzie i długo nie chcieli przypomnieć sobie jej istnienia. Afisze i broszury propagandowe, zachęcające ludzi do odwiedzenia Włoch rzadko wspominały Sardinie. Od kilku lat zmieniło się pod tym względem wiele. Właściwie zmieniło się wszystko. I Włosi z Półwyspu Apenińskiego i cudzoziemcy „odkryli“ Sardinie. Stała się nagle modna. Pojawiało się kilka ciekawych książek i sporo artykułów w pismach. Zaczął się też napływać turystów zachęconych tym przede wszystkim, że Sardinia jest jednym z niewielu już zakątków nad Morzem Śródziemnym, gdzie folklor nie jest czymś na pokaz lecz codziennym stylem życia i gdzie nowoczesność w postaci luksusowych hoteli, zatoczonych obozów campingowych, kasyn, autostrad i innych atrakcji turystycznych nie zdążyła jeszcze się rozpanoszyć do tego stopnia, by upodobnić Sardinie do „każdej innej“ riviery. Przypomniano sobie historię Sardynii i jej prehistorię. Włosi napływający na wakacje z Genui, Rzymu, lub Mediolanu przekonują się ze zdumieniem, że nie tylko w zapadłych wioskach, lecz i w miastach takich jak Sassari lub Nuoro ulica mówi na codzień językiem archaicznym, używając wyrażen i zwrotów o których Włochy właściwie zapomniały już od setek lat. Nie są to dialekty włoskie, lecz odrębne języki romańskie, te same o których Dante pisał z przekąsem, że jest to mowa barbarzyńska, w której Sardowie naśladowują łacinę „jak małpy“ — „Tamquam simiae...“

Języków tych jest kilka, jeśli nie kilkanaście. Samolot, który przywozi mnie z Rzymu wylądował na lotnisku w Alghero. Miasto kilkudziesięciotysięczne, pięknie położone na północno-zachodnim wybrzeżu, szczyt się architekturą XV-ty i XVI-towieczną, tak czystą, że nawet barok ledwie o nią zahaczy. Port dość ożywiony choć miasto spokojne. Nie na długo — okolica staje się coraz bardziej „turystyczna“, czemu towarzyszy rozmach budowlany i spekulacja gruntowa. Ludzie uprzejmi choć na swój sposób dumni. Mają po temu przyczyny. Karol V — cesarz niemiecki i król hiszpański zarazem, uszlachcił wszystkich mieszkańców Alghero za jednym zamachem, gdy się w tym mieście zatrzymał w drodze na rozprawę z Turkami i Arabami algierskimi. Ponadto mieszkańcy Alghero nie mówią w ogóle po włosku lecz czystym językiem katalońskim. Są potomkami osadników spod Barcelony i Gerony. Najwidoczniejszy to znak długiego panowania Aragończyków a po nich Hiszpanów. Wpływ hiszpańskich jest także sporo w innych dialektach czy językach używanych na wyspie. Sardinia stała się krajem włoskim dopiero w XVIII wieku. Nazwane ją wtedy królestwem i stała się dziedzictwem dynastii Sabaudzkiej, panującej i dalekim Turynie i Piemencie. I choć właśnie pod berłem tej dynastii dokonano się „resorgimento“ włoskie w połowie ubiegłego wieku i zjednoczenie całych Włoch — Sardinia używała długo jeszcze języka hiszpańskiego w dokumentach urzędowych i w sądach.

Nie wynika z tego wcale, by wspominała rządy hiszpańskie z rozczuleniem.

Przeciwnie traktowała Aragończyków i Hiszpanów jak najeźdźców, podobnie jak przed nimi Arabów i jeszcze dawniej Rzymian. Rzymianie podbili ją, a właściwie odbili Kartagińczykom. Aż do końca istnienia Imperium uważali ją za prowincję dziką i nieokreśloną. Obsadzili mocno wybrzeża i pobudowali miasta, lecz w głębi ładu kryli się dalej Sardowie, trzymający się uparcie starych wierzeń i obyczajów. Do dziś środkowa część wyspy nazywa się „Barbagia“, co jest przeróbką łacińskiej nazwy „Barbaria“.

Jest to zresztą część wyspy najciekawsza. Prawdziwy raj dla archeologów, którzy znajdują tam mnóstwo doskonale zachowanych pomników tzw. kultury nuragijskiej w postaci kurhanów i budowli z kamieni o charakterystycznym owalnym kształcie. Kim byli pierwotni mieszkańcy wyspy? Odpowiedzi jest wiele i żadna nie jest pewna. Śladów językowych jest już mało. Za to mnóstwo śladów obyczajowych i kulturalnych. Do dziś wewnątrz Sardynii żyje życie gminnym. Każda wieś jest całością dla siebie i unika kontaktów z sąsiadami. Stroje i zwyczaje zmieniają się co kilka kilometrów, podobnie jak specjalne kulinarne. Świat zewnętrzny był dla Sardów światem wrogiem, prawa i ład narzucane przez kolejnych zdobywców — obcymi prawami i ładem nieznośnym. Stąd tradycja trwająca od czasów rzymskich załatwiania sporów sposobem sąsiedzkim i zazdrosnego strzeżenia dostępu do własnej wsi. Przybierało to często pozory lub cechy bantytizmu, o który zarówno Włosi z kontynentu jak i mieszkańcy nadbrzeżnych miast sardyńskich oskarżali górali. W oskarżeniach tych jest dużo prawdy. Zemsta krwawa nie jest tu legendą lub wspomnieniem — jest wydarzeniem codziennym.

Wśród z górą półtoramilionowej ludności wyspy dostrzec można tyle śladów różnych wpływów rasowych i kulturalnych, że naszkicowanie sylwetki „przeciętnej Sardynki“ jest trudne. Na południu, w pobliżu stolicy wyspy Cagliari ludzie są energiczni i ruchliwi, a ich cera pozwala się domyślać, iż przodkowie ich przybyli z Libii. Na północy ludzie poruszają się wolno i z godnością i nie brak twarzy nordyckich, jasnych oczu i blond włosów. Wnętrze wyspy znowu mieści zupełnie inny typ ludzki, milczący i melancholijny. Nie tylko historia jest przyczyną różnic. Także przyroda, zwłaszcza krajobraz. Stare masywy górskie, dzikie i groźne w swym pięknie znajdują odbicie w wyglądzie i w zachowaniu ludzi. Wyspa, która na mapie wygląda rzeczwiście jak ślad stopy, jest wyspą dużą: nieco ponad 24 tysięcy kilometrów kwadratowych. Lecz różnice klimatyczne są większe, niż by wskazywał obszar. Na wybrzeżu i to zarówno na północy jak i na południu klimat śródziemnomorski, ciepły przez cały rok, i upalny w lecie. Wokół masywu górskiego Gennargentu temperatura w zimie spada niekiedy do 6 stopni poniżej zera. Wpływa to z kolei na różnorodność uprawy.

Największym wydarzeniem historycznym na przestrzeni tysiąca chyba lat było wyplenienie malarii, która dziesiątkowała ludność, wyzbywała ją energii i była w dużej mierze przyczyną dziwnej melancholii, o której Włosi mówią często jako o „rezygnacji“ sardyńskiej: „resignazione sarda“. Malarię przepędzono z wyspy wypowiadając wojnę komarom. Wyniszczono je prawie bez reszty, głównie dzięki inicjatywie amerykańskiej, bezpośrednio po drugiej wojnie światowej. Był to swego rodzaju prezent Ameryki dla Włoch i dla Sardynii. Akcję rozpoczęło wojsko — kontynuowały ją różne instytucje przy współudziale rządu włoskiego i władz samorządowych. Pełnię skutków zwalczania malarii ocenić będzie można zapewne dopiero w następnym pokoleniu, lecz już i dzisiaj są one zbawienne m.in. także w postaci napływu turystów, którzy przed wojną po prostu bali się pobytu na Sardynii. Poza tym, co Sar-

dynińczyków, cieszy w niemiejszym stopniu, po wojnie wyspa uzyskała szeroki samorząd lokalny, który zabrał się energicznie do poprawy położenia gospodarczego. Zaczyna się krzewić miejscowy przemysł i podniosła się technika uprawy roli.

I co najciekawsze, następuje powolny powrót nad morze. Używam tu określenia miejscowego. Przez wieki morze było dla Sardów źródłem niebezpieczeństwa. Jest to chyba jedyna wyspa na świecie, która nie tylko nie żyła z morza lecz od morza się odwróciła. Wybrzeża, poza miastami jak Olbia, Alghero, Sàssari czy Cagliari, były bezludne. Choć wody Sardynii obfitują w bogactwo ryb, rybaków było bardzo mało. Podłoże dziwaczne zjawiska było czysto psychologiczne: od wieków właśnie od strony morza spodziewano się najazdu, śmierci i pożogi. Starano się osiedlać jak najdalej od niego, pozostawiając pustą wybrzeże na pastwę Arabów czy Aragończyków. W folklorze sardyńskim morze odgrywa rolę małą, lub jest siedzibą złych ludzi i złych duchów. „Domus de Janas“ — „domy duchów dobrych“ to stare kurhany w głębi ładu.

W sierpniu odbywa się w Sassari tzw. „Fiesta dei Candelieri“. Święto barwne. Recytacje i improwizacje poetyckie, pochody cechów i postaci symbolicznych. Rewia strojów ludowych z kilku prowincji czy powiatów. Tańce i muzyka. Święto związane z wspomnieniem zarazy morowej w wieku XVI. Trwa całą noc i cały dzień, lecz nastrój jest poważny, wesołość wstrzymuje. W rozmowach, od których nikt się nie uchyla, mało jest podniecenia i wy-lewności. Nastrój ten się udziela. Logudoro, prowincja na południe od Sassari, mówi językiem, który najbardziej jest zbliżony do czystej łaciny ze wszystkich dialektów romańskich. Końcówki na „us“, brak rodzajników włoskich, każde „e“ wymawia się jak „k“. Logudoro jest językiem literackim. Posiada zwłaszcza bogatą poezję, przepojoną filozoficzną rezygnacją:

Naschent et morint rosas et lizzos,
sa tumba trista su coro m'inserrat,
ma su marmuru frittu est unu velu...

(Rodzą się róże i rodzą się lilie, rodzą się i umierają, każdy grób jest smutny, lecz marmur jest tu oprawą, która uspakaja smutek serca“).

Cytuję nie ze starożytnej canzony, lecz z poezji nowoczesnej, napisanej już po wojnie przez dziennikarza nazwiskiem Morio Pinna.

Samolot szerokim łukiem oblatuje Cagliari i wychodzi na kierunek Neapolu. Brzegi Sardynii zacierają się zwolna w gorącej mgiełce. Dziwna wyspa, dziwni ludzie. Nie wiem, czy kiedykolwiek ich zrozumiałem. Lecz wiem, że ich nie zapomnę.

KUŻMA WOLK

SYMBOLIKA NAZWISK — SZMATKA KŁAMLIWA — SZACHRAJSTWO SEMANTYCZNE — SZWOLEŻEROWIE BIERUTA

P. Jacek Woźniakowski jeden z reaktorów „Znaku“ (Rok XVI, Kwiecień/4), 1964 zapytuje:

„Zabawna mogłaby być praca (może już jest taka?) o fantazyjnym słowotwórstwie w Polsce, nie tylko zawsze w słowiepiewniach. Kto np. wymyślił wspaniałe legionowe nazwisko, plk. Lufa-Dufny?“

Wydaje mi się, iż mam na to odpowiedź: nazwisko to jest wynalazkiem Juliana Tuwima. Pospołu z innymi, równie genialnymi. Ukazało się w poemacie na temat Marszałka Piłsudskiego, umieszczonym w „Cyruliku Warszawskim“ zaraz po wypadkach majowych r. 1926-go. Niestety całego tekstu nie pamiętam. Ale wyjątki jego przetrwały. Tematem zaś długiego i bardzo satyrycznego wiersza była endecka legenda jak to, rzekomo, Marszałkiem kierowali Masoni, a nade wszystko Szymon Askenazy. A więc:

„... demon wchodzi bez pukania:
„No, Piłsudski, jak się macie?“
„Rad staratsia“ — rznie Marszałek
I przy daszku rękę trzyma
„Gdzie Hubiszta?“ — „Przeniesiony“
„Gdzie Hallery?“ — „Już ich nima“
„Dobrze“, mówi Aszkemason, „Teraz
(weźcie tu papierek
„I napiszcie nominacje, i zmian w
(wojsku będzie szereg
„Grzyb-Rypalski do Będzina, Pstryk
(ze sztabu do saperów
„A pułkownik Lufa-Dufny na
(dowodzie szwoleżerów“...
Potem:

„Z Belwederu na Wierzbową pędzi
(demon Szymonazy
„Tam Knoll, Knoll za kominkiem,
(majufesy, kamarińskie
„A Zaleski, nicyym Bohdan, dymki
(szumi ukraińskie“.

W ogóle Polską rządzą, czy rządząliby „żydzi, masoni i cykliści“ gdyby nie Zygmunt Wasilewski:

„Bo on jeden trzyma fason ponad
(Żydów podłą zgrają
„I on jeden nie jest mason, chociaż,
(czego nie gadają?“
Cóż z tego kiedy.
„A przedwczoraj wyszło na jaw, że i
(pierwszy marsz Kadrowki
„Prowadził z Oleandrów ciotki
(mistrza, dwie żydówki“.

W II-giej Rzeczypospolitej walki i porachunki polityczne były bardzo na

PRASA W NAMORDNIKU

serio. I wbrew mazgajskim chórom jestem zdania, iż było to zjawisko dodatnie, tak długo jak istnieli bezstronni arbitrzy czyli niezależne sądownictwo i mniej więcej nieprzekupna i niezastraszona policja. Zresztą całe społeczeństwo zareagowało bardzo ostro na wyłamanie się z reguły gry, na Brześć i Berezę. Obydwie nazwy stały się symbolami świństwa, za które byliśmy wspólnie odpowiedzialni. Ale nie wpadamy w neostaficyzowską przesadę samobiczowania się. Były to świństwa w kategoriach świata cywilizowanego i przywoitych ludzi. Nie ma ani ilościowych ani jakościowych porównań pomiędzy tymi objawami samowoli a ponurymi katowniami Bezpieki i ciężkim duszącym cuchem politycznej atmosfery „Prywiślenskiej Riepudliki Ludowej“ przed, w czasie, i po „odwilży“.

Różnica jest akurat taka jaka istnieje pomiędzy „Cyrulikiem“ Lechońcia, Tuwima i Stonimskiego a plaśzczącymi się „harmonogramami politycznego humoru o wydzwieku społecznym“ plugawych, ludowych „Szpilek“.

Zresztą o kim dziś w Warszawie można pisać cięte i ryzykowne satyry? O Bordziłowskim? Albo o Wycechu? Albo o generale Huszczy „usmieriteliu“ Poznania? Albo o Stefanie Jędrzychowskim? Albo o setce innych „zombich“, wyprutych z duszy i poczucia własnej śmieszności? Czy można, tak z ręką na sercu dziwić się temu, że „ludowy“ humor polski, nie najwyższej próby za najlepszych czasów, obsesyjnie trzyma się dziś tematów genealogiczno-trawieniowych?

KŁAMLIWA SZMATA

Ręce opadają na widok propagitki „Polish News & Views“. Towarzyszu Wagner wy naprawde trwonicie szcuple dewizy. No, ale to wasz i waszego partyjnego aktywu interes. Wy napędzicie tłumaczy i zróbcie coś z metrampażem (jak się mówi po ludowemu?). Przecież takiej sieczki jaką przynosi ostatni wasz numer, Towarzyszu Wagner, żaden Anglik napewno nie przeczyta, chyba szukając materiału do rubryki nieświadomego humoru językowego. Dotąd gazety afrykańskie i indyjskie były niewyczerpanymi kopalniami klejnotów asocjacji, twórczą, i to najczęściej na wesoło, dziedziną wiecznie żywego i rozwijającego się języka. Nie wam to, towarzyszu Wagner, pisać, nie wam. Drukujecie pewniaki bo tępi jesteście i dbali o posadę. Nie dziwie się. I nie będę więcej służył dobrą radą. Ale protestuję przeciw jawnym kłamstwom. Oto w ostatnim (No. 6/30, June 1964, vol. III) numerze wasza, towarzyszu Wagner, skryba pisze:

„The peasant question from the time of Kosciuszko was never finally settled. Even after regaining independence in 1918 (... że też „nadziateli“ zezwolili na tak ryzykowne twierdzenie. No, no...) no land reform was initiated so that the villages suffered hunger from lack of land and adjacent to them were the huge landowner estates (... aż mnie zemdlilo...“).

Otóż, towarzyszu Wagner, z reformą rolną w Rzeczypospolitej było bardzo niedobrze, ale reforma była, uchwalona od samego nieomalże początku i była kością niezgody. Gdyby wojna nie wybuchła na reformie rolnej, względnie na braku przepisów wykonawczych do niej tak koło roku

(Dokończenie na str. 8)

KRZYŻÓWKA NR 559/64

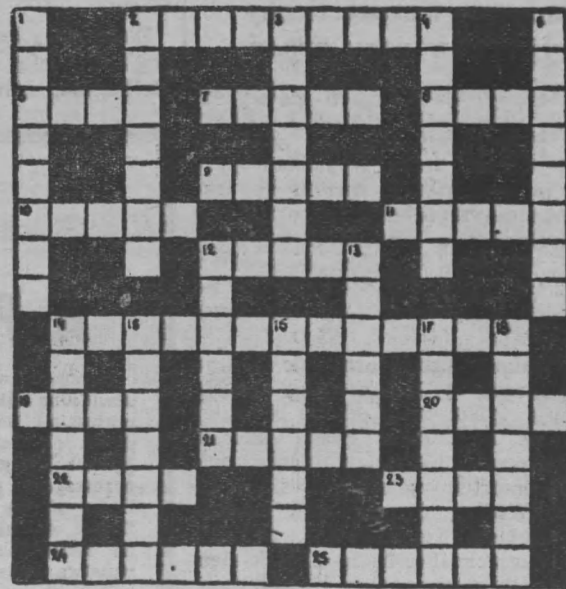
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) portret; 6) i 8) modlitwy; 7) sposób, zwyczaj; 9) tam w strachu ucieka dusza?; 10) i 11) wybuchowy żołnierz?; 12) gałgan; 14) z akowskiej piosenki Małgorzatka; 19) i 20) opieka, zwłaszcza nad sztuką; 21) znany polski śpiewak; 22) i 23) stoi w miejscu, z nazwy idzie w tył?; 24) kwiaty jak oczy?; 25) bibuła (wspak).

Pionowe: 1) brak pieniędzy; 2) owoce na niej tylko w obiecankach?; 3) postać z Aidy; 4) dziś modna w damskim uciesaniu; 5) przedstawia jednym coś innego; 12) postać z „Grunwaldu“; 13) oszust; 14) symbolem mądrego jest Nestor; 15) opowiadanie; 16) naczynie; 17) miły gość dobrej gospodyni (wspak); 18) złośliwa trudność (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 558/64

Poziome: 1) mędrak, 4) pustka, 7)



symbol, 8) łopata, 9) i 10) hokus-pokus, 12) asy, 16) rada, 17) ruch, 18) i 19) Nowogród, 20) Justyn, 21) haczyk.

Pionowe: 1) mysz, 2) Rebeka, 3) kolasa, 4) pułapy, 5) szpaki, 6) Gaza (wspak), 9) horrendum, 11) Sanhedryn, 13) szwank, 14) faworyt, 15) program.

Szukałem czegoś w „Wielkiej Encyklopedii Włoskiej”, *Grande Enciclopedia Italiana*, wydanej za czasów faszyzmu na większą chwałę faszyzmu. Jak wszystkie dyktatury, faszyzm lubował się w rzeczach, które były „olbrzymie”, „kolosalne”, choćby to była jedynie wydęta Wampuka, w środku pusta; albo oszukańcza dekoracja, ustawiona tylko od strony widza. Mussolini chciał zaćmić tym wydawnictwem wszystkie inne encyklopedie; chciał, żeby to była „una cosa grandiosa”. I powstała rzeczywiście rzecz monstrualnych rozmiarów, blisko czterdzieści tomów, a każdy tak wielki, gruby i ciężki, że można nim zgruchotać łeb słońowi. Lecz tylko waga fizyczna tej encyklopedii imponuje. Bo poza tym jest nie budząca wielkiego zaufania kompilacja innych encyklopedy i raczej dyletancka robota.

Lecz mniejsza o to. Dość że szukałem w tomie szesnastym, obejmującym część litery „M”, bo chciałem sprawdzić pewien szczegół o republice San Marino. I nagle jakimś się cofnął w pomrokę wieków! Patrząc, czytam i oczom nie wierzę: bo nim trafiłem na szukane hasło, widzę „po drodze” nazwisko „MARINETTI” — tutaj przecinek, a po przecinku trzy imiona: Filippo Tommaso Emilio...

Ależ tak, tak! To Marinetti, niemal dziś ze szczeniem zapomniany twórca futurystyczny, i towarzyszy pierwszych walk Mussoliniego. Faszysta, który się rozczarował do Faszyzmu. Nie z tego powodu, oczywiście, że był dyktatorem, tylko że był za mało dyktatorem.

— Ale zaraz! — myślę sobie. Toć przecież mamy Rok Pański 1959*). A

*) Pisane w r. 1959 dla Rozgłośni Polskiej R.W.E. W tym roku dnia 2.12. minie 20 lat od śmierci twórcy futurystycznego.

Z ŻYCIA KOŁA SPK Nr 114

W dniu 20 maja 1964 roku w lokalu ZHP odbyło się roczne Walne Zebranie Koła SPK Nr 114.

Po sprawozdaniach Zarządu Koła i delegatów Koła na Zjazd SPK Oddziału W. Brytania i Federacji Światowej oraz po udzieleniu absolutorium z podziękowaniem ustępującemu Zarządowi, dokonano wyboru nowego Zarządu, do którego weszli koledzy: prezes — Władysław Wenzel (po raz 9-ty), wiceprezes — Ryszard Kaczorowski, sekretarz i skarbnik — Włodzimierz Ruszkowski.

Członkowie Koła rekrutują się głównie z instruktorów harcerskich, którzy cały swój wolny czas i swój wysiłek poświęcają pracy wśród młodzieży harcerskiej i we władzach ZHP. Prócz tego członkowie Koła wykazują czynny i duży udział w pracach społecznych na terenie Londynu, a w szczególności: kol. Z. Szadkowski wszedł do Komisji Rewizyjnej SPK Oddziału W. Brytania jako jej przewodniczący; kol. R. Kaczorowski do Zarządu Oddziału SPK w W. Bryt., a kol. Z. Kołodziejki do Zarządu Federacji Światowej SPK.

Zarząd Koła, zgodnie z uchwalonym budżetem, wypłaca corocznie pokazną subwencję ZHP na pracę harcerską.

„Pro Musica” wśród polskich studentów

Jak wynika z doniesień warszawskiej „Trybuny Ludu” (30. 5.), „zawrotna kariera” wśród studentów w Polsce zrobił ruch „Pro Musica”, zajmujący się popularyzacją kultury muzycznej. Obecnie działa w całym kraju około 40 klubów „Pro Musica”. Są one — jak twierdzi dziennik — jedną z najbardziej popularnych organizacji w środowisku studenckim.

W programach działalności klubów znajdują się prelekcje z historii muzyki, audycje muzyczne omawiające wybrane zagadnienia, informacje o najważniejszych wydarzeniach muzycznych, dyskusje. Kluby organizują: ówczesne biblioteki muzyczne. Ożywną działalność prowadzi zwłaszcza klub „Pro Musica” w Warszawie. M.in. w marcu i kwietniu w warszawskich klubach odbyły się 22 imprezy. Czynnie w działalności klubów uczestniczą studenci wyższych uczelni muzycznych.

(FEC)

JAN TOKARSKI

MARINETTI — O KONFORMIZMIE REWOLUCJONISTÓW

Marinetti w paryskim „Figaro” ogłosił swój manifest futurystyczny w roku 1909. Zatem minęło pięćdziesiąt lat, pół wieku zaledwie. Boże, a człowiekowi wydaje się, że nawet faraonowie istnieli bliżej ku naszym czasom.

Swoją drogą czy futurystyczny powstał lat temu pięć tysięcy czy tylko pięćdziesiąt, zawsze jest to gładki, okrągły jubileusz tego kierunku, zapoczątkowanego przez jednego człowieka. Futurysty tyle robił hałasu, że aż dziś tak jakoś cicho o nim. Nie bardzo wiadać, żeby świat pamiętał o futurystach, choć ci głosili, że świat dopiero od nich zaczął się naprawdę, że wszystko przedtem, łącznie z gramatyką i ortografią, to było tylko kłamstwo, oszustwo, idiotyzm.

„Szczamy i sikamy we wszystkich kolorach na wasze świętości narodowe!” — jak napisał pewien polski futurysta. A łaskawy czytelnik, w imię historycznej ścisłości, wybaczy mi ten kolorowy cytat, który bardzo wernie oddaje postawę tych ludzi. Tak im się przynajmniej zdawało. Głosili oni bowiem, że futurystyczny „jest to dynamit wybuchający pod ruinami wszystkiego, co istniało dotąd”. I dla tego wspomniany polski futurysta ogłaszał — rzecz jasna że w nowej futuroortografii, nie uznającej „eRZet”, „ó” z kreską, „CeHa” i tym podobne — „wypszedasz starych rupieci”: „Spzedaje się za poldarmo stare tradycje, kategorie, pszyzwyczajenia, malowanki i fetysze. Ogólnonarodowe panopticum na Wawelu... Będziemy zwozić taczkami z placu, skweru i ulic nieświeże mumie mickiewiczów i słowackich... Każdy może być artystą”.

Wszystko, co było dotąd, a co futurysty za Marinettim nazwali *passéizmem* — zostało więc skazane na niepamięć, zagładę, unicestwienie. Tymczasem to co było, istnieje wciąż, wzbogacone i bogacące; a futurystyczny, który obwieścił nową literaturę, nowe malarstwo, nową muzykę, politykę, moralność, życie, i co tam jeszcze, nikt nawet nie bardzo pamięta.

Zaglądam do paru najnowszych encyklopedy. W tegorocznym wydaniu Chambers'a nie ma nawet hasła „futurystyczny”. W Encyclopaedia Americana też nie, ani literki. W Brytanica, tej solidnej kopalni wszelkich informacji o tysiącach nawet najniepotrzebniejszych rzeczach, pod hasłem „futurystyczny” jest tylko odsyłacz: „patrz malarstwo — postimpresjonizm”. A tutaj zaledwie kilkadziesiąt wierszy żartobliwej wzmianki jako o jednym z niezliczonych kierunków i hasełek, które buszowały przez krótki czas po rewolucji impresjonistów. Natomiast ani słowa o futurystach w poezji, literaturze, teatrze, gdzie przecież futurysty się rozpoczęli i najwięcej obiecywali. Daremnie też szukać po innych nowych encyklopediach.

Natomiast są krótkie wzmianki o samym Marinettim, który zmarł w roku 1944. Drugiego grudnia 1959 minęło więc piętnaście lat od śmierci tego człowieka, który nie tylko widział za życia, że świat zamknął się nad jego kierunkiem jak woda nad wrzuconym kamieniem, tak iż nawet wszelkie zmarszczki na powierzchni dawno się wygładziły — ale patrzył na niesławną agonię faszyzmu, w faszyzmie zaś upatrywać chciał futurystyczny jako realizację własnych programów.

Z futurystycznym zrodziły się te wszystkie kierunki, które dziś są jeszcze bardziej nazwami tylko, niż sam ich rodzic, to jest orfizm, dadaizm, symultaneizm, kreacjonizm, puryzm, zenityzm, radyzm, wortycyzm, konstruktywizm, suprematyzm, imaginizm, ul-

traizm. Pozostawił więcej niż imię tylko kubizm, który rzekomo zacząć się miał jako żart i kpina. Ale został tak serio potraktowany przez nabranych krytyków i handlarzy obrazów, że sami twórcy tego kawału musieli zrobić poważne miny i tworzyć pod komendą własnej pseudoestetyki. No i surrealizm.

Robił futurystyczny co tylko możliwe i niemożliwe, żeby zwrócić na siebie uwagę. Rosyjscy futurysty chodzili w najdziwniejszych strojach, w butonierkach nosili marchew lub nawet mysz, uwiązaną za ogonek, twarze grubo posypywali mąką — mąką, nie pudrem. Ich wystawy malarskie prowokowały skandal za skandalem — a c nie bardziej im nie chodziło. Jeden z nich pewnego razu wystawił jako obraz — zdechłego szczura, przywiązanego drutem do ram. Kiedyś takie sprawy wywoływały wzburzenie. Dziś nawet nas nie nudzą...

Futurystyczny bowiem głosi programowo pogardę dla opinii i publiczności, co potem posunie jeszcze dalej dadaizm. Gdy futurysty twierdzili, że dla artysty być zrozumiałym nie jest rzeczą konieczną, dadaści ogłoszą, że być niezrozumiałym, i to nawet sobie samemu, jest rzeczą najważniejszą. Francis Picabia w „manifestie dadaistycznym” powiedział: „Nie rozumiecie — prawda? — tego co robimy. Ależ świetnie, drodzy przyjaciele: my sami rozumiemy to jeszcze mniej!” W tym celu dadaści urządzali takie

„URE MELA NIJE PANNA”

„Stwierdzamy, że wspaniałość świata wzbogaciła się o nowe piękno: piękno szybkości. Samochód w biegu, ze swym obudowaniem, ozdobionym grubymi rurami podobnymi do węzów, których oddech jest eksplozją, ryczącą pod kartaczami, jest piękniejszy niż Nike z Samotraki. My opiewamy wielkie tłumy, rozedrgany żar nocny arsenałów, fabryki, mosty, motorówki, lokomotywy i mknący lot aeroplanów”.

Tak przed półwiekiem zapowiadał Filippo Tommaso Marinetti nowy kierunek życia, sztuki i polityki przez siebie stworzony. Ponieważ wychodził tylko odo teraźniejszości, a kierował się ku przyszłości, nazwał go futurystycznym. Oto parę zdań z jego Manifestu futurystycznego:

„Chcemy śpiewać miłość niebezpieczeństwa, energię i zuchwałość. Odwaga, junactwo, rewolucja będą istotnymi elementami naszej poezji. Literatura gloryfikowała dotąd zadumany bezzuch, ekstazę i sen. My chcemy siałować ruch agresywny, gorączkową bezsenność, rozmach i pęd”. „Piękno jest tylko w walce. Chcemy słać wojnę, tę jedyną higienę świata, militarystyczny i patriotyczny”.

Wyjaśniał później, że futurystyczny jest to „wielki ruch antyfilozoficzny, antykulturalny, sportowy, zbrojny w idee intuicyjne, walące pięścią, wybuchowe, odmładzające (...) oczyszczające, nowatorskie i nadające rozpęd, ruch stworzony (...) przez grupę genialnych włoskich poetów artystów. (...) Futurysty to mistycy działania. Bo futurysty zwalczyli i zwalczają zastygły *passéizm* pod wszystkimi formami; zwalczyli i zwalczają dyplomatyczny rozsądek, pesymistyczną logikę, neutralizm, tradycjonalizm, kult książek, bibliotek i muzeów”. „Po-palić biblioteki i muzea”!

Ciekawa rzecz, że taki ruch, choć zdefiniowany przez Marinettiego najpierw w Paryżu, powstał właśnie we Włoszech. Że kierunek odwracający się od przeszłości, a nastawiony — wbrew swej nazwie — nie tyle na

demonstracje: W jednej sali przed tą samą publicznością ośmiu mówców z jednej mównicy mówili równocześnie — każdy na inny temat! Mówiąc nawiasem ten niesłychany wynalazek czeka na ponowne odkrycie w krajach demokracji ludowej, gdzie za wzorem futurystów i dadaistów po dawnemu kwitnie wielogodzinne krasomówstwo. Cc by to była — a oszczędność czasu, gdyby tak członkowie politbiura i inni dygnitarze partyjni łupali swoje taśmiemce wszyscy od razu!

Marinetti pisał tak: „Futurystyczny nie uznaje ani praw, ani kodeksów, ani urzędników, ani policjantów, ani alfonsów, ani moralistów”. „Jest to bicz, którym co dnia sieczemy do krwi twarze tchórzów we Włoszech”. A co pisał i mówił Marinetti — raczej zaś wołał mówić aniżeli pisać — to powtarzali za nim w swoich językach futurysty we wszystkich krajach: od Paryża i Londynu przez Kraków do Moskwy.

Wydawać by się mogło, że z tego kierunku nic nie pozostało. Ale, ale... gdyby Marinetti żył do chwili obecnej, poznałby bez trudu, że „nie ze wszystkim umarł”. Że dzieło jego żyje. przymusowo, ale żyje, podlewane sztucznymi nawozami. Nie w tym, co w futurystycznym było wyzywające, świeże, zawiadackie, ale co stanowiło wydedukowaną konwencję, zwinioną niewiele pewnej postawy. A mianowicie, że żyje — w socrealizmie. Lecz żeby tego dowieść, trzeba sobie przypomnieć na czym ten futurystyczny polegał.

przyszłość, a na teraźniejszość, pijany aż do szaleństwa chwilą obecną, powstał w Italii, najwspanialszym grobowcu przeszłości. — Zrodził się jako namiętny protest przeciw historyzmowi, grobowi, historycznej ciągłości i temu wszystkiemu, co przeszłość stworzyła. Futurystyczny nakazywał ją przekreślić jako „*passéizm*”, rzecz, która odeszła bezpowrotnie. — Czy miał z tym jakieś związki fakt, że Marinetti był nie tylko Włochem, ale Włochem, urodzonym w Egipcie? A więc że przyszedł na świat — żeby tak powiedzieć — pod samymi korzeniami drzewa historii i przeszłości? Byłaby w tym może pewna analogia do nieco wcześniejszej walki krakowianina Wypiańskiego z duchem Mickiewicza i romantyzmu, toczony w Krakowie; walki o teraźniejszość i przyszłość a przeciw osłabiającym majakom przeszłości.

W każdym razie rzecz to interesująca, że polski futurystyczny nabrał rozmachu właśnie w Krakowie, tak bardzo żyjącym historią, wspominkami i pogrzebami historycznych wielkości. Stąd się rozgłosił w rok po założeniu klubu pod nazwą „Katarzynka” i zapoczątkował swój okres „burzy i naporu”. A nakaz nowej twórczości za swoim włoskim mistrzem, nasi futurysty wyrazili następująco:

„Nie wolno (...) nikomu tworzyć i konstruować tak, jak to czyniło się jusz kiedyś pszed nim. Życie płynie napszud i nie powtaża się. Tworząc każdego obowiązuje to wszystko, co zastał plus ten cudowny skok, ktury artysta uczynić musi w pruznę wszechświata”.

— Koń o kilkadziesiąciu nogach. Pies z wachlarzem ogonów. Człowiek z wirem profiliów, w mgławicy porozrzuconych członków: Oto malarstwo futurystyczne, ze swoją tak zwaną „perspektywą centryfugalną”. Malarz futurystyczny nie przestawał przypominać, że widz znajduje się w środku obrazu. Ale ponieważ wszystko jest w ruchu i nic nie stoi na miejscu, malarz musi wszelkimi sposobami wyrażać ruch nie tylko przestrzenny i fizycz-

ny, ale emocjonalny i że tak powiem kojarzeniowy — własny, malowanego obiektu i widza. A więc na przykład postać stojąca na balkonie, to jest nie tylko ów balkon, owa postać i ewentualnie kawałek widoku na ogród lub ulicę, ale to wszystko plus rozmaite wydarzenia dziejące się równocześnie, refleksje postaci na te wydarzenia — refleksje motoryczno-kojarzeniowe wraz z tym, co jej się śniło w ostatniej nocy i bo ja wiem, co jeszcze? Albowiem jednym z zasadniczych odkryć, do których futurystyczny się przyczynił, była tak zwana symultannosc, to znaczy nakaz wyrażania *jednoczesności* dziejących wypadków, zdarzeń, odczuć ruchów, i tym podobnie. Temu w malarstwie służyło owo mnóstwo końskich nóg, psich ogonów, ludzkich profiliów. A w poezji i literaturze „słowa wyzwolone”, „parole in liberta”, jak to nazwał Marinetti. Rzeczowniki, Czasowniki najchętniej tylko w trybie bezokolicznym. Precz ze śmiesznymi agrafkami przysłówków i przymiotnikami, które spełniają „idiotyczną rolę przystanków!” Precz z interpunkcją! Pisownia fonetyczna — a więc pisać trzeba tak, jak „się wymawia”, a nie jak każą gramatyki i ortografowie! Językowi nie wolno się posługiwać przyjętymi, „*passéistycznymi*” pojęciami! Słowo ma tylko wartość dźwiękową. Obowiązuje zupełnie nowy układ typograficzny wiersze w postaci figur geometrycznych, w postaci przedmiotów, fontanny, bukietu — i tak dalej — co zostało przyjęte z Apollinaire'a. W swoich „*Calligrammes*” drukował on wiersze w taki sposób, aby miały kształt obiektów, które ten świetny zresztą poeta w swych poematach ewokował.

Gramatyka — twierdzili futurysty, a za nimi jeszcze głośniejsi dadaści — jest zabójstwem poezji. Zdanie jest antypoezyjnym dziwologiem. Poetę obowiązuje nakaz twórczości zupełnie nowej, co na przykład dadaści demonstrowali w ten sposób, że tworzyli swoje poematy wyrwijając na chybił trafił pojedyncze słowa z dziennikarskiej kroniki wypadków, lub ustawiając je obok siebie, a nawet nad sobą, przecinając jeszcze słowa w pół i wciśkując między ich sylaby czysto dźwiękowe cząstki, pozabawione wszelkiego znaczenia i komunikatywności.

Zaraz to zademonstrujemy na bardzo wymownej parodii, napisanej swego czasu przez Jerzego Brauna i zatytułowanej „Od klasy do dadaisty”. Braun wziął następujący motyw: Melania i Józef kochali się bardzo. Razu pewnego Józef zmarł nagle, a Melania zabiła się nad jego grobem. Pokazał jak ten temat opracowały poetyckie klasyki, romantyki, symbolisty, wreszcie futurysta i dadaista. Opuśćmy trzech pierwszych, a dajmy głos futurystyce:

Józef. Melania. Dwoje.
Szary, długi pan na zielonej ścianie.
Miłość i krzyk. Tramwaj. Kości moje...
Zgruchotał. Leży. Trupozw w karawanie.
Czy tu, czy tam... Pogrzebowa drynda...
A na cmentarzu jej wisielec dynda.
Trr... Telefon... Co? jak?
Powiesiła się... zdechła... — a tak!

A teraz ten sam motyw ujęty przez dadaistę:

Józef ure mela nije panna
kocha ahi oha klukli pst hosanna
krew krewi krowa krowistanu grobie
ali mi zali okropnie po tobie
nóż tuż w biust szust osi na powrozie
(ona powiesi osi na węzu męża Laokoona...)

Te pastiszki dobrze demonstrują postulat futurystów, że utwór musi mieć maksimum konstrukcji a minimum treści.

Z kolei wypadnie nam przyjrzeć się odrobinę polskiemu futurystycznemu. Ale to zostawimy sobie do następnego razu.

(Dokończenie nastąpi)

PRASA W NAMORDNIKU

(Dokończenie ze str. 6)

1942-go rząd Sławoja albo jego następcy rozciągnął by się na pełny regulator. To nawet, towarzyszu Wagner, wasi „marksistowsy historycy“, lepszy i gorszy przynajmniej. Przeciwnicy Anglików i Amerykanów zagadnienie rolnictwa w Polsce przed 30 laty nie a nie obchodzi jak oni wyglądali. Lepiej od Was, towarzyszu Wagner. Po co więc kłamięcie w druku i to jeszcze za wyzabrowane od polskiego chłopca, robotnika i pracownika umysłowego, ciężkie dewizy towarzyszu Wagner? Nie bójcie się; jeszcze kiedyś za to będziecie odpowiadać. I uważajcie żebyście nie wpadli w ręce tego co wy, i wam podobni, towarzyszu Wagner, nazywacie „sfrustrowanymi parobkami-chuliganami“ a co ja nazwałbym wyrazicielami autentycznego Gniewu Ludu. I, wiercie mi, znacznie dla was będzie lepiej, towarzyszu Wagner, jeżeli afera skończy się dla was po prostu ciosem w łeb, choćby cegłą.

O NIEZAPOMNIANYM ROKU I SZACHRAJSTWACH TERMINOLOGICZNYCH

Pasjonujące zagadnienie stopnia wojkowego Mariana Sychalskiego zostało rozwiązane; Oto bowiem „Żołnierz Polski“ (Nr. 21/834) zamieścił fotografię jego z następującym podpisem: „13 bm. w Warszawie Przewodniczący Zarządu Głównego TPP-R, marszałek sejmu Wycech udekorował 29 przedstawicieli wojska Złotymi Odznakami Honorowymi TPP-R. Odznaczeni zostali Minister Obrony Narodowej Marszałek Polski Marian Sychalski... „Niebezpieczny dewjancjonizm nacjonalistyczny“. Polska jako twór konstytucyjny o osobowości prawa międzynarodowego nie istnieje w chwili obecnej. Istnieje natomiast „Polska Republika“ — względnie „Rzeczpospolita“, obie formy są czy były używane — Ludowa. Sympatykiem więc p. Marian Sychalski nie może być formalnie marszałkiem „Polski“. Co najwyżej „Marszałkiem Polskiej Rzeczypospolitej czy Republiki Ludowej“. Oby mu tego nie wypomniawo, biedakowi, przy następnym dłuższym pobycie w mamrze w oświeceniu nigdy nie gasnących reflektorów. Za ostatnim razem silnie to nim wstrząsnęło.

Podobnie też Stanisław Tołwiński, „gorodonaczalnik“ Warszawy pisze o „Niezapomnianym Roku 1945“ — tym. Pewnie, że niezapomniany. Co prawda inaczej niż sądzić i piszczeć o tym, towarzyszu Tołwiński. No, ale nie dziwię się Wam. Płacą: gadacie. Chodzi mi o szczegóły. Oto wasz artykuł zdobi fotografia dawnego BGK obwiszonego repliką orderu. Podpis zaś jest następujący: „31 sierpnia 1945 roku Prezydium K.R.N. nadało bohaterstwu miastu Warszawie najwyższe polskie odznaczenie bojowe: Krzyż Grunwaldzki I klasy. Z tej okazji dekoracji tymczasowego ratusza stołecznego (BGK) wyglądała 1.IX.1945 właśnie w ten sposób“. Akurat jak styl cytaty: bardzo niezgrabnie. Na czym innym polega istotne zastrzeżenie: Krzyż Grunwaldzki nie jest „najwyższym polskim odznaczeniem bojowym“. Najwyższym ODZNACZENIEM jest Krzyż Walecznych a najwyższym ORDEREM jest Virtuti Militari. Krzyż Grunwaldzki jest najwyższym odznaczeniem „PRL“, tworzą państwowego nie posiadającego ZADANYCH związków publiczno-prawnych z Rzeczypospolitą Polską. Podkreślają fakt ten stale konstytucyjni prawnicy reżymowi i dyplomaci. Zresztą chętnie wierzę iż „Krzyż Grunwaldzki“ nadawano za wybitne czyny bojowe. Podobnie jak Żelazny Krzyż w Niemczech czy św. Jerzego w Rosji. Nie ma się czego wstydić.

MECYJA DLA KAWALERZYSTÓW

Zawsze mnie intrygowali „szwoleżerowie Bieruta“. Byli tacy na samym początku „PRL“. Zewnętrznie do złudzenia przypominali artykuł prawdziwy. Zostali rozformowani z końcem roku 1946-go a sztandar ich został złożony w Muzeum Wojska w Warszawie. Tam jemu i miejsce, mówiąc po bordziłowsku.

Kuzma Wołk

Komunistyczne praktyki przy przyjęciach do pracy

W obowiązującej obecnie w Polsce konstytucji znajduje się stwierdzenie, że „praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela“. Nie łatwo jest jednak otrzymać pracę. Z katowickiego dwutygodnika „Rada Robotnicza“ (nr 9) dowiadujemy się, że „w szeregu zakładów nowy pracownik przystąpi do pracy przechodzi istną drogę krzyżową. Z blisko 4 tysięcy zgłoszeń do pracy w jednej z naszych hut prawie połowa rezygnuje z niej w trakcie procedury przyjęcia i to bardzo często z powodu tej procedury“.

„Większość czasu nowo przyjmowanego — pisze „Rada Robotnicza“ — to czekanie i poszukiwanie danej komórki. W dziale kadr robotnik złożywszy opinie i świadectwa szkolne otrzymuje tzw. kartę obiegową oraz skierowanie na rozmowy z właściwym kierownikiem i mistrzem. Po tych rozmowach następują dalsze w dziale kadr“. Potem „do Rady Zakładowej trzeba iść po deklarację, do komórki PZU — dla ubezpieczenia się, dalej do referatu wojskowego, węglowego, socjalnego, do Związku Młodzieży Socjalistycznej, do Komitetu Zakładowego itd. Rubryk w karcie obiegowej bywa 20 w każdej musi być podpis odpowiedniej komórki na dowód załatwienia formalności“.

Cytowany dwutygodnik powołując się na wyniki badań, które przeprowadzono w „kilkudziesięciu“ przedsiębiorstwach, stwierdza że od momentu zgłoszenia się w dziale zatrudnienia do podjęcia pracy czekać trzeba kilka tygodni. M.in. „badania lekarskie trwają od 2 do 15 dni. W niektórych zakładach — pisze „Rada Robotnicza“ — badania trwają czasem do 4 tygodni“.

Starający się o pracę muszą złożyć w danym zakładzie aż „15 różnych papierków“. Te biurokratyczne praktyki, stosowane powszechnie na terenie całego kraju, pochłaniają — jak twierdzi pismo — setki milionów złotych. Statystyczną miarą wagi tego problemu jest fakt, że rokrocznie — „z górą dwa miliony osób to albo ludzie zmieniający pracę albo w ogóle nowe pracownicy“. W stosunku do nich stosuje biurokracja komunistyczna ten sam przewlekły tryb przyjmowania do pracy. (FEC)

Liczba członków i delegatów P.Z.P.R.

Według ostatnich oficjalnych danych PZPR liczy około 1,500.000 członków i kandydatów. Zgodnie ze statutem partii na 1.000 członków i kandydatów przypada 1 delegat. Interesujący więc jest fakt, że w województwie katowickim „wybrano“ tylko 140 delegatów zamiast co najmniej 200. Centralny bowiem organ partii, „Trybuna Ludu“ (25. 5.), twierdzi, że PZPR w woj. katowickim liczy obecnie 212.000 członków i kandydatów i jest najliczniejszą organizacją w kraju. Widocznie władze centralne zakwestionowały liczbę członków jako nieodpowiadającą stanowi faktycznemu, aby w ten sposób nie dopuścić tak licznej delegacji z jednego województwa na kongres.

Innym godnym uwagi jest fakt, że organizacje terenowe wybrały ponad 1.400 delegatów zamiast około 1.500. Być może brakującą liczbę uzupełniają delegaci wybrani przez organizacje partyjne w wojsku, ministerstwach i administracji.

Drugie miejsce, jeżeli chodzi o liczbę członków, zajmuje Wielkopolska. Z „Trybuny Ludu“ (30. 5.) dowiadujemy się, że „PZPR w Wielkopolsce“ (Poznań i woj. poznańskie) liczy 144.000 członków i kandydatów, na kongres zaś wybrano 143 delegatów.

Najmniejsze delegacje na kongres przybędą z województw: koszalińskiego — 36 osób, białostockiego — 37 osób, olsztyńskiego — 38 osób i zielonogórskiego — 39 osób. Warszawę „reprezentować“ będzie 90 delegatów, a województwo warszawskie — 80 delegatów, Kraków i „ziemię krakowską“ — 80, Dolny Śląsk (Wrocław i woj. wrocławskie) — 114, woj. bydgoskie — 104, woj. rzeszowskie — 87, woj. kieleckie — 83, woj. łódzkie — 80, a miasto Łódź — 48 delegatów. Niewielkie stonkowo delegacje wybrano w województwach: szczecińskim — 43 osoby, opolskim — 48, gdańskim — 49 i lubelskim — 63 osoby. (FEC)

Przedkongresowe czystki i aresztowania

W dniu 28 maja br. — jak doniosło Radio Warszawa — „plenum komitetu warszawskiego PZPR podjęło uchwałę o zwolnieniu z funkcji sekretarza i członka komitetu Stefana Harasimowskiego“. Krótki komunikat nie ujawnia przyczyn zwolnienia. Wspomniane Radio, jak również dzienniki warszawskie, nie wymieniają innych osób poza Harasimowskim, choć nie może ulegać wątpliwości, że czystką objęte zostało szersze grono działaczy warszawskich, którym w ten sposób uniemożliwiono wzięcie udziału w przedkongresowej konferencji. „Trybuna Ludu“ (4. 5. 6.) podała, że konferencja taka odbyła się z udziałem Gomulki w dniach 3 i 4 czerwca. Wybrano na niej 78 delegatów na kongres, który odbywa się obecnie.

Czystka w Warszawie, podobnie jak w innych miastach, wiąże się zapewne m.in. z wykrytym w kwientiu br. „spiskiem“ grupy natolińskiej, która — jak okazało się — wśród niezadowolonych funkcjonariuszy partyjnych znalazła niemało zwolenników. Od października 1956 roku natolińscy nie zrezygnowali z walki. Szeregi tej frakcji zostały nieco wykruszone, ale działa ona nadal sprawnie. Na kongres natolińscy przygotowali niejedną „niespodziankę“. Gomulka rzekomo wiedział dokładnie o wszystkich przygotowaniach tej frakcji, ale postanowił przeciwdziałać w najbardziej odpowiednim dla siebie momencie. Dopiero na kilka tygodni przed rozpoczęciem zjazdów przedkongresowych postanowił rozprawić się ze „spiskowcami“. W Warszawie i kilku miastach wojewódzkich aresztowano około 300 osób.

TRZECH GŁÓWNYCH ASÓW „NATOLINA“

Wśród aresztowanych znalazły się takie osoby, jak: Kazimierz Mijał, Wiktor Kłosewicz i Stanisław Łopot. Pierwszy z nich był w okresie stalinowskim szefem kancelarii Bieruta a następnie ministrem gospodarki komunalnej, drugi — przewodniczącym związków zawodowych, trzeci — dosłużył się stanowiska wicepremera.

Natolińscy — jak ujawniło śledztwo — prowadzili w kraju na szeroką skalę działalność przeciw obecnemu kierownictwu partii, a w szczególności przeciw Gomulce. Między innymi w biurze R. Nieszporka, przewodniczącego rady narodowej w Katowicach znaleziono duży zapas broszur i bibuły antygomulki. Na 90 stronach jednej z broszur natolińscy, wytykają Gomulce różne błędy, twierdzą, że do 1956 roku Polska Ludowa rozwijała się pomyślnie. Dopiero po powrocie do władzy Gomulki partia utraciła perspektywę i odeszła od zasad marksizmu-leninizmu. Nieszporek rzekomo nie wiedział o przechowywaniu w jego biurze antygomulki literatury. Dlatego w Katowicach aresztowano innych „spiskowców“ samego zaś Nieszporka zwolniono tylko ze stanowiska przewodniczącego rady narodowej i — jak informowało Radio Warszawa (17. 4.) — przeniesiono do dyplomacji. Mijał był dotychczas przewodniczącym Banku Inwestycyjnego, Łopot — dyrektorem generalnym w min. Budownictwa i Materiałów Budowlanych, Kłosewicz — pracował w zarządzie Stoczni szczecińskiej. (FEC)

KRONIKA TYGODNIA

10 czerwca

71 głosami przeciwko 29 Senat Stanów Zjednoczonych uchwalił przerwanie dyskusji nad ustawą o „Prawach Obywatelskich“ dla ludności kolorowej. Tym samym zakończył się najdłuższy w historii Ameryki „filebuster“.

Brytyjski minister transportu, Marples, „zapowiedział“ powołanie komisji której zadaniem będzie obmyślenie kształtu „samochodu przyszłości“.

11 czerwca

W Volkofen, koło Kolonii, maniak zaatakował gmach szkoły przy pomocy motocykla płomieni. Dwie nauczycielki poniosły śmierć a trzydzieści dzieci walczy ze śmiercią w szpitalu.

Syn Beavenbrooke'a, Max Aitken, odmówił dziedziczenia tytułu lordowskiego.

W Pretorii Nelson Mandela, przywódca nacjonalistów murzyńskich oraz ośmiu współpracowników zostali uznani winnymi zdrady stanu i skazani na dożywotne więzienie. W całym świecie odbywają się zebrania protestacyjne.

12 czerwca

Samoloty amerykańskie bombardowały stanowiska komunistycznego Pathet Lao w Laosie.

W Zanzibarze szerzy się terror komunistyczny pomimo „unii“ tego kraju z Tanganiką. Przystana z Tanganiki policja jest bezsilna.

Gubernator Gujany Brytyjskiej zawiesił konstytucję i objął pełnię władzy.

De Gaulle odbywa podróż po północnych prowincjach Francji witany entuzjastycznie.

13 czerwca

Turcja zgodziła się na mediację amerykańską w sprawie Cypru oznajmiając, że zarzuca plany interwencji zbrojnej.

Konferencja w sprawie pomocy dla krajów nierozwiniętych zakończyła się kompromisem między państwami „bogatymi“ i „biednymi“.

14 czerwca

Scranton rozpoczął energiczną kampanię przeciwko Goldwaterowi.

W Liverpoolu i innych portach brytyjskich trwa strajk dokerów przeciwko złemu systemowi załadowania drewna na statkach sowieckich.

W miastach australijskich kilkutyśniczne tłumy witają „Beatle'ów“.

15 czerwca

W Warszawie rozpoczął się zjazd partii. Gomulka wystąpił z atakiem na Chiny z powodu ich ambicji posiadania własnej broni jądrowej.

Nelson Rockefeller zgłosił poparcie dla kandydatury Scrantona.

16 czerwca

Okolice miasta Niigata w Japonii zostały dotknięte trzęsieniem ziemi.

Rząd Zachodnio-niemiecki nakazał opuszczenie Niemiec przez „Bolszoj Ballet“ moskiewski.

U Tant wystąpił z zarzutami przeciwko rządowi cypryjskiemu za podkopywanie autorytetu wojsk ONZ.

Rumuńska prasa urzędowa zaatakowała gwałtownie Sowiety za próby pozabawienia jej samodzielności gospodarczej.

Kopenhaga powitała bardzo ozięble Chruszczowa, który stąd zaczyna objazd państw skandynawskich.

PODZIĘKOWANIE

Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, składa tą drogą serdeczne podziękowanie wszystkim Stowarzyszeniom i Organizacjom polskim, które wzięły udział w tradycyjnej pielgrzymce do Montmorency w dniu 7-go czerwca br., wysyłając swoich Delegatów względnie poczty sztandarowe.

FELIKS GROSS UWAGI O ZMIANIE SPOŁECZNEJ

Na tle przemian technologicznych ostatnich czasów prof. Feliks Gross rysuje kierunek rozwoju stosunków społecznych. Zakończeniem autora jest tutaj: że kraj o najbardziej zaawansowanej technice produkcyjnej jest zwierciadłem przyszłości dla całego pozostałego świata. I otóż prof. Gross wykazuje że obecnie w Stanach Zjednoczonych jest trzy razy więcej wykładowców i uczonych na uniwersytetach i w instytucjach naukowych, niż górników węglowych. W czołowej fabryce komputerów co drugi pracownik ma wykształcenie akademickie, a co dziesiąty ma doktorat filozofii. Oczywiście, zmiany tego rodzaju pociągają za sobą następstwa polityczne i ekonomiczne — jakie o tym barwnie pisze prof. Gross. Jego nowa praca, sięgając myślą daleko w przyszłość, ma w sobie technię utopijnej wizji. Utopia ta jednak podmurowana jest ścisłymi danymi — faktami i cyframi. Pasjonująca lektura dla ludzi o zainteresowaniach społecznych. Przedmowa Normana Thomasa, znakomitego socjologa amerykańskiego i wielokrotnego kandydata na Prezydenta USA.

Cena 10 sh., 7 NF., \$1.50.

Skład główny: GRYF PUBLICATIONS LTD., 171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S. W. 11.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch. — w Belgii 7 br. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 8 esc. — w Sawejji 90 ore — we Włoszech 60 Hr. — w Australii 4 ish 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf“ Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie \$3.00. Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb 75; Mrs J. Korab-Brzozowska-Czaky 116 rue Joseph II Bruxelles 4; wpisać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Czaky nr 7315.20, podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F. kwart. 8.00, półr. 15.00, rocznie 28.00. Admin. „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17. Kont. poczt.: Edit ELKA-Paris 5507-30; „Libella“ Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; nr. konta poczt. Paris cc 566160. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord) tel. 568-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50, wpłacać przez poczt.: Fr. Małeckie „Ulpelan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: St. Mikuluc (13b) München, 45 Gablonzerstrasse 7/L. — W NORWEGII: koron. mies. 4. kwart. 10. rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post

box 115, Oslo. — W SZWAJCARII: franków szwajc. miesięcznie 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 6, rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron. mies. 3.60, kwart. 10.00, rocz. 36.00; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/I Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów; kwart. 700; W Zakorasi Associazione Combat Polacchi Via Lilla 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNI: prenumerata roczna \$5.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca“ Serrano 2076 Buenos Aires. — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00. — W AUSTRALII: „Vistula“ (Australia) Pty Ltd., Daking House Lawson Place Sydney; „Spotem“ 64 Papley Hill Rd. Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart. \$1.00, rocznie \$3.15. — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“ London lub T. W Krychowski 101 Islington Ave South Toronto 18 Ontario. — W PLS AAFRYCE: kwartalnie 16/6 rocznie — 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf“ Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: J. Biełkowski 627 Tracy Street

Utica, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“ L. Żukowski 6347 Chene St., Detroit 11 Mich USA; „Polinvalco“ 1029, Cuba St., Toledo 17, Ohio i 6947 Oregon Ave., La Mesa via San Diego Calif

CENA OGŁOSZENIA: za jeden cal przez jeden iam \$1.50 wzgl. 1 cm. przez jeden tam NF. 7.50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London W.C.2; lub Odra Press Ltd., 20 Queens Gate Ter., S.W.7, Tel. KNI 6855

Nadestanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“ 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGram 0045. Konto pocztowe: ELKA cc Paris 5507-30